

KONOPNICKA
POEZYE.



Melch. Belgassiot

POEZYE.

598736

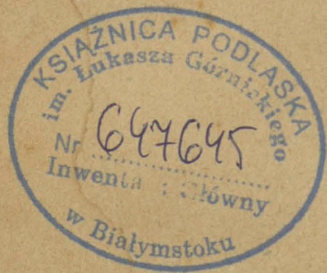
Marya Konopnicka.

POEZYE.

WARSZAWA.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

1881.



I.

WSTĘP.

Za ostatnim poetą zamknęła się brama. —
Trudno się skarżyć; cześć im oddali ziomkowie:
Charmides, z wieńcem lauru na wzniesionej głowie
I w płaszczu purpurowym, wyglądał, jak drama,
Z wlokącym się po za nią długim epilogiem.
Menander także w wieńcu, który mu na czoło
Dali ateńscy męże, piał pieśnię wesołą,
Jakby mu Dionizos bratem był — nie bogiem;
A wiedząc, że się sława rychło zmienia w marę,
Niósł z niedbalstwem wspaniałem pełną wina czarę,
By pić zdrowie ojczyzny — za ojczyzny progiem.
Euthydem niósł lirę, brząkając w nią z cicha, —
A piers jego wezbrana, co smutkiem oddycha,
Tak pełna jest tęsknoty — i łez — i zadumy,
Że za każdym ust tchnieniem unoszą się tłumy

Mar powiewnych, przejrzystych, i wiązanką płową,
 Jako wieniec róż bladych, lecą mu nad głową. —
 Philebus, z olimpijskim spokojem na twarzy,
 Szedł, jak mąż, który dźwiga na barkach Hezjoda;
 A za nim w niewidzialnej postępują straży:
 Kunsztowna antistrofa, rzeźbiona epoda,
 I orzeł zeusowy nad głową się waży,
 I otacza go grecki błękit i pogoda. —
 Timaeus kroczył blady, obuty w koturny,
 Niosąc z dzieł swych tragicznych popiołów dwie
 [urny;

A gałąz cyprysowa, owinięta kołem,
 Zdawała się ze zgrozy wstawać mu nad czołem...
 Milczał; jeśli wychodząc nie rzucił przekleństwa
 Na miasto obłąkane i pełne szaleństwa,
 To jedynie dla tego, by ziemia pobladła,
 Nim on przestąpi bramę, w przepaść nie zapadła. —
 Dajmon zamykał pochód i wybuchem śmiechu
 Żegnał Ateny, pieśń swą przekazując echu...
 I zaraz też podgórze dzieliły się wiernie
 Spadkiem poety, rapsod skandując misternie,
 Coraz to przeźroczyściej, coraz ciszej... ciszej...
 Tak, że ostatnie dźwięki Zeus ledwo słyszy. —

Plato odetchnął. — Odtąd poezja zdradziecka
 Umysłów wytrzeźwionych oczadzać nie będzie,
 I żadna już od pieśni nie zadrży pierś grecka...
 Ostatnią lirę, w kącie rzuconą na śmiecie,
 Po jakimś zapomnianym włóczędzie — poecie,
 Strzaskano, jak bezbożne, przekłete narzędzie. —
 Pierzchły już bezcielesne, urojone mary,
 Których nikt nie przykroi do rozsądnej miary...
 Odtąd mieszkańcy miasta, stojąc na swych progach,
 O tem, co rzeczywiste, radzić będą zimnie,
 I nikt, przy jakimś grzmiącym, pełnym ułud hymnie
 Nie będzie roił baśni o chwale i bogach. —
 Epos przestanie kłamać i drażnić umysły;
 Na wzruszenia jest wymiar ogólny i ścisły...
 I nikt, pod wpływem pieśni, omamiony słuchem,
 Nie będzie śnił, że leci nad światy gdzieś duchem...
 Ludzkość, wolna od rodu wieszczów i rapsodów,
 Przestanie pragnąć źródeł żywych i ogrodów,
 I nie będzie roiła o cudach dziwacznie,
 I na byt swój powszedni trzeźwo baczyć zacznie. —
 Cóż jest pieśń? dźwięk słów, pusty, jako wiatru
 [szelest.

Poezja najpiękniejsza jeszcze prawdą nie jest
 I, jako płonne zielska, po drogach zarasta...
 Lecz dziś wszystkie wyrwano! po za bramy miasta
 Odprowadzono wieszczów z wiencami na czołe —
 I przed poezją wrota do Aten zaparto. —

— Tak dumał prawodawca.

Cóż to za pacholę,
Z głową wzniesioną w niebo, źrenicą rozwartą
Szeroko, patrząc w błękit ten, czysty, jak fala
Egejska, gdy w niej jutrznia łuny swe rozpala,
Stoi w cichym zachwycie? — Nad niem szumią

[drzewa,

Ptak wędrowny skrzydłami bije i pieśń śpiewa,
Olimp w mgłach gubi czoło, jak senny atleta...
Echo pieśni Homera w błękitach gdzieś kona,
A w około powstają bohaterów cienie
I ojcowie o wielkiem sercu idą smutni...
Zadumanemu chłopcu pierś chwyciło drżenie;
Spłonał — i, wyciągając młodzieńcze ramiona,
Głosem czystym, jak kryształ, wołał: „lutni!..

lutni!“...

— Jakto? wielcy bogowie! — czyż znowu poeta!?



W GÓRACH.

I.

Przygrywka.

W koło mnie otoczyły moje równie senne,
Pasmem jednakiem.
Ale ja sobie lecę w krainy odmienne, —
Umiem być ptakiem.
Błękitna przestrzeń mruga, zaprasza do siebie,
Skrzydeł nie nuży...
Pędzim sobie we trójkę: ja, obłok na niebie,
I listek róży. —
Listek najpierwszy upadł na wioskowym kopcu
Cudzej granicy,
Jak rzucone słóweczko drogiemu mi chłopcu
Mdłej obietnicy...

A obłok powiał dalej... pod słońko się stroi
 W biel i we złoto,
 Aż u chaty ostatniej, co w kraju mym stoi,
 Zadrżał tęsknotą...
 Wiatr szarpnął go za szatę, rozrzucił mu włosy,
 Toż łzami leci
 Na łączkę, gdzie pod gruszą siedzi dziaduś bosi
 I kupka dzieci...
 Nie chce odlecieć dalej! z tej mgły urodzony,
 Z oparów rzeki,
 Gdzież mu zwiedzać świat obcy, inne jakieś strony
 I kraj daleki?
 Więc sama lecę... sama, choć serce mnie boli
 I smutno wróży...
 Czemuż nie chciał obłoczek podzielić mej doli,
 Ni listek róży? —
 Z obłoczka jabym sobie wieczorem pod głowę
 Zwiła posłanie;
 A z listka zasię róży — toć czary gotowe
 Na zakochanie. —
 Lecz sina dal pociąga, i wabi, i nęci,
 Jak cud nieznany...
 Ej! ujrzę raz na oczy insze sianożęci
 Insze kurhany!
 Ej! posłyszę ja przecież, jak to ludzie gwarzą
 Obcym mi gwarem...

I wypatrzę miesiącek, z jaką wstaje twarzą
 Nad cudzym jarem...
 I dowiem się raz wreszcie, gdzie tęcza podziewa
 Wstążek swych końce?
 I jakie tam piosenki o zmroku rozbrzmiewa
 Echo mdlejące. —
 U nas w wiosce znam wszystko... wszystkiemu
 [już syta,
 Aż do znudzenia...
 Codzień z za tego wzgórza słońce rankiem świta,
 Nic się nie zmienia.
 Wiem, gdzie rosną dziewanny, a gdzie niezabudki
 W przydrożnym rowie;
 Wiem, gdzie szary słowiczek zwił domek malutki
 W naszej dąbrowie;
 Wiem, gdzie ojciec łan orze, gdzie matka wybiela
 Cieniutkie płótna;
 Wiem, jak w święto wieczorem grzmi wiejska kapela,
 Jak fletnia smutna...
 Lasek, cmentarz, kościółek, starego plebana,
 Znam już z pamięci...
 Tęskno mi! — ej, pociąga dal sina, nieznana,
 Wabi i nęci!

II.

Na Dunajcu.

Wąziutkie nasze łodzie, przepięte łańcuchem,
Lekko mkną po Dunajcu sennym jakimś ruchem,
I tak modrawą falę przecinają gładko,
Jakby ptactwa wodnego żeglujące stadko...
Z lewej i z prawej strony dwie ściany skaliste
Wyciągają się ku nam w cienie długie, mgliste:
A Dunajec drga lekko w migotliwe skrety,
Sunąc, jako wąż w trawie piersiami wygięty.
Wiosło uderza miękko, niby pieszczotliwie,
A człowiek ledwo wierzy, że na ziemi żywie; —
Bo świat tam, z drugiej 'strony, do skał gdzieś
[przyparty,
A widok — tylko w niebo błękitne otwarty. —

Lecz fala w węższy parów głębiej się już wkrawa;
 Aż na skrytym „niedźwiedziu“¹⁾ nagle dęba stawa,
 Ciska pianę, jak rumak wstrzymany wędzidłem,
 I, jako górski orzeł, skałę bije skrzydłem,
 I, jak tur, wściekłem czołem dno przepaści bodzie,
 I z stromych barków gniewnie zrzuca nasze łodzie,
 I w kółko się okręca, i żyma, i krztusi...
 Ejże! zwróci się w biegu i niedźwiedzia zdusi! —

* * *

Lecz patrz! góry cofnęły swe kamienne czoła...
 Zaśmiała się nad brzegiem góralka wesoła,
 I kąpiąc w złotym żwirze bose swoje nóżki,
 W bród podaje pachnące groszki i ostrożki.
 Zebrała je porankiem, w Lechniczej, na Rusi,
 Nim zwiedną, szumnym Laszkom rozprzedać je
 [musi.

A tuż nad nią źródółko żywej wody bije,
 Więc czerpie śniadą rączką i do gości pije. —
 Ej, Dunajcu! rozmarszcz się, jeśli twoja łaska,
 I nie mąć odbitego w twej fali obrazka;
 Niechże ja się napatrzę tej bosej góralce!..

¹⁾ „Niedźwiedziem“ nazywają górale stoczony w wodę odłam skały.

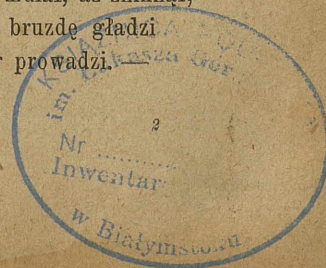
Niedźwiedź już tylko zdala mruczy coś po walce;
 Plusnęły wazkie wiosła w lewą, w prawą stronę;
 Łodzie się przytuliły, jak ptaki spłoszone,
 A cisza rozmarzona, skrzydłata, pieściwa,
 Dunajec, nas i góry w swe rąbki okrywa. —
 Fala się niby modli, jak harfa zakłęta:
 To przed dziecą uchodzi nasza Kinga święta
 I stopy swe, znużone podróżą niezwykłą,
 Myje w jasnym źródółku, co z skały wynikło...
 Orzeł zerwał się z turni, jak tatarska strzała...
 Z boku tuli się trwożnie jakaś mniszka biała...
 Grzmiąca pogoń kopytem po wierchach rozbrzmiewa,
 A za siewcą — łan pszenny w oczach się dojrzewa...

* * *

Jak cicho! róg góralski echa gdzieś potrąca;
 Do snu kładzie się fala u brzegów mdlejąca;
 Dzwon z Grywałdu roznosi uroczyste dźwięki...
 Wtem — na skrecie padł wystrzał, a słowa piosenki
 Rozigrane, jak kozy skaczące ze skały,
 Z łodzią w zieleń przybraną mimo nas leciały...
 „Sława!“ rusin przewoźnik gromko się okrzy-
 [knał;

Plusk i szum się podwoił, potem mdał, aż zniknął;
 Tylko gniewny Dunajec srebrną bruzdą gładzi
 I długie rozhowy z echem gór prowadzi.

Poetye.



III.

W poranek.

Z Jarmuty mgła spada, jak rąbek z dziewczyny;

Po niebie obłoczek przewija się siny;

 Za chwilę, wschodzące

 Spromieni go słońce

I tronem on będzie jutrzence...

Wcześniejszy od świtu, ciemniejszy niż zmierzchy,

Wszedł góral w swej guni, z siekierką, na wierzchy;

 Nim dzionek rozbłyśnie,

 On zagrzmie, zaświeśnie

I echa rozbudzi w piosence. —

O cicho... o cicho! schylony na skale,

Utopił źrenice w powietrza kryształ

 I liczy, jak skarby,

 Omszone te garby,

Rodzinnych gór swoich przyczoła. —

— „Prehyba... Petrańczyk i Wilcze zielone!..

To moja sadyba i gniazdo rodzone.

Jam z wiatrem tam latał

I z orłem się bratał;

Znam wszystkie smereki dokoła.

Tu Kunia, Opołta, a tam Koszarisko...

Ej! dalneż to wierchy, choć widzą się blisko!..

Pieniążna, Czerteże,

Gdzie skarbów złe strzeże,

Gdzie rogi nie jęczą pastusze...

Ej, byłóż mi świata pod skalne te ściany,

Dopókim nie poznał wietrznicy Marany,

Co miga mi w oczach,

Po Łanach, Uboczach,

A śmiechem zabiera mi duszę!..

Wróżyła cyganka: „złe dnie z Sokolicy!

Ej! nie chodź pod okno Marany wietrznicy,

Bo serce wyspiewasz,

I Boga zagniewasz,

I pójdzie twa dola na marne.“ —

Nie chodzić?.. a także!.. od świtu się włóczę

Gdzie dziewczę zaplata warkocze swe krucze...

Och! wróżyby... wróżyby...

Jam wesół i syty,

Gdy w oczy popatrzę się czarne! —

Nie będzie mnie chciała? — ej! znam ja wąwozy,
Gdzie strzelcom z pod kulki z wichrami mkną kozy...

Ot, Rogacz... Homole...

Wybieram, co wolę...

Przepaści, jak śmierć, tam głębokie!..

Ej, słońce ty, słońce! pośpieszaj ze wschodem,

Bo trudnoż mi z sercem stęsknionem i młodem!..

Och! ani pamięta,

Że ziemia ta święta

A nad nią — jest niebo wysokie!

IV.

N o c.

Na tym kawałku ziemi Bóg położył dłonie
I odjął — i stanęła tu piękność w osłonie
Dziwnego mejestatu. Smereki zielone
Zaplotły jej koronę szmaragdów na skroni
A kształty jej przepysznie rzeźbionego ciała,
Niby grecka draperja, mgła lekka owiała...
U spodu szaty, jako taśma złotem szyta,
Mienia się górskie półka jęczmienia i żyta;
A przepaska Dunajca, modra, falująca,
Z pod piersi, szumiąc, spada i o stopy trąca.
Nagie ramię kamiennne, wyciągnione w górę,
Podtrzymuje zachodu królewską purpurę,
I, jako karjatyda, strop niebieski dźwiga,
Aż blednie i w pomrokach liljowych zastyga.

* * *

Cicho! oto jej księżyc srebrne bajki plecie
 I majaczy tam dziwy, niebawale w świetle;
 Rozbudza duchy białe, co w szczelinach drzemią
 I rade o północy hasają nad ziemią;
 Zroszonym mchom rozplata brylantowe włosy
 I, jako dziwożona, łechce senne wrzosi...
 Halny wiatr powiał chłodem... dzwonek się odzywał!
 Zbłąkana, za kozarem tęskni owca siwa...
 Juhas huknął; po turniach odhuknęły jary...
 Gdzieś czujny róg się ozwał, gdzieś drugi do pary...
 Okrzyknęły się wierchy, coraz słabiej — ciszej,
 Aż ostatni ich odgłos przepaść chyba słyszy...
 Zboczem drgnęła kozica w miesięcznej poświacie:
 Pomknęła na szczyrbinę, stanęła na czacie,
 I cicha, lekka szyję podała w przestworze...
 Hej, strzelcze! hybaj z regli! zaskoczysz ją może! —

* * *

Cisza... wioski rusińskie drzemią na siwarze...¹⁾
 Rozbiegane świstaki wabia się po parze;
 Watra ²⁾ gdzieś resztą żaru w oddali przebłyska,
 A biały dech z parowu wznosi się w kłębiska..
 Dunajec szumny przez sen pluszcze się i gada;
 Nad nim stoi w zadumie Sokolicia błada...

¹⁾ Siano.

²⁾ Ognisko pastérzy.

I dziwnie się do jedna schodzą w nocną ciszę:
 Tęsknota, co rozbudza, — spokój, co kołysze.

* * *

Kamiennym snem zasnęły Tatry; a nad głową,
 Zoraną w dziwne bruzdy strzałą piorunową,
 Na skrzydłach górskich orłów ciche sny się waży
 I stare pieśni nuca, stare dzieje gwarzą.

* * *

— Słuchaj! to szumi morze spienione i sine...
 Przechyl się, jeśliś mężny, i spojrzuj w głębinę.
 Czy widzisz? tam, w muszelek drobniotkich koronie,
 Najwyższy czub tatrzański w mętnych nurtach tonie.
 Wokół skalne przyczółki obsiadły drużyną,
 I patrzą w błękit nieba po przez falę siną;
 A zamkniętych w więzieniu twardem, kryształowem,
 Rzeki chyba pozdrowią powitania słowem,
 I przyniosą im wieści z dalekiego kraju,
 I słodkiej wody dadzą, niby korowaju...
 Smutno Tatrom wiek płynie! ciężka jeńców dola!
 Choćby ci się wdzięczyły pereł ząbki białe,
 Choćby ci koral różę dawał skamieniałe,
 Ty zawsze tęsknisz, wzdychasz i szepcesz:
 [„niewola“!]

Oh! bracie!

Stój! czy słyszysz huk burzy złowrogi?
Huragany, jak tury, wzięły się za rogi;
Fale wrą, niby lawy arterye płomienne...
Zatrzęsły się przepaści; leci grom po gromie;
Ruszyły się z swych posad zręby wód widomie;
Powieź ziemi zapada w otchłanie bezdenne;
Pożar błyskawic gore; morze pianę ciska,
Cofa się, jak odyniec, ze swego łożyska;
Pęka na grzbiecie Tatrów łańcuch kryształowy;
Drząc, pryskają im z ramion przejrzyste okowy...
Ostatnich gromów echem rozgrzmiewają brzegi,
Ostatnie bryzgi morskie lecą, jako śniegi,
I do kamiennych skroni przymarzają białe...
A jako z pękniętego pierścienia złuskany,
Podniósł się Krywań siwy i otrząsnął z piany,
I twardą piersią odbił pierwszą słońca strzałę...

Hejnał! spłonęły Tatry od posad do szczytu...
Spia niżnie; gór przyczółą pierwsze dojrzą świtu
I w blaski spromienione, nim zmierzch pierzchnie
[siny,
Łuną dnia wstającego rozbudzą doliny.

V-

Na Czorsztynie.

Oj! zateśnił Czorsztyn biały
Na samotnej skale;
Oj, wypuścił wzrok, jak strzały
Przez Dunajca fale.
Tam na brzegu, jak dziewica
W przezroczystej bieli,
Pluszcze stopy swe Niedzica
W kryształnej kąpieli...
Oj zmaciła modra woda
Jasne swoje łoże;
Zakipiała dusza młoda,
Jako sine morze.
„Lećcie orły, lećcie w swaty,
Przez błękitne tonie!
Niech w jutrzennych zórz szkarłatny
Luba ma zapłonnie...

Zwiń się lesie nad jej czołem
 W zielony wianeczek!
 Ty, Dunajcu, zwiń się kołem
 W złoty pierścioneczek.
 Mgły niech rańtuch jej uprzedą
 Powiewny, bieluchny;
 Sine wichry niech jej będą
 Za drużby i druchny.
 W organ burza niech zahuczy;
 Wicher niech zaśpiewa;
 Niech rozplecie włos jej kruczy
 Błyskawic ulewa.
 Niech nam drogę umiatają
 Poświstami wiatry;
 Niech nam chleb i sól podają
 Pioniny i Tatry!
 Lećcie orły, proście gości,
 Na weselne gody:
 Mchy siwiutkie od starości,
 Żywych źródeł wody,
 Drobne, nikłe macierzanki,
 Z pod krupiańskich stoków,
 Mgły z Lechniczej, zwite w tkanki ¹⁾
 I słońko z obłoków;

1) Ubiór głowy rusinek.

Górską ścieżkę — tanecznice,
 Górską dziatwę — jodły,
 Jasnookie błyskawice,
 Coby orszak wiodły.
 Gęślarz — echo się odzywa,
 Szumi las do koła...
 Sokolico! matko siwa,
 Przeżegnaj nam czoła!

VI.

Na szczytach.

Tatrzańskie stoki w ziołach toną,
I noszą odzież rozkwieconą,
Na mchu stawiają stopy bose,
I traw oddechem piją rosę...

A wyżej: kamień nagi błyska,
Szumiące źródło wrą z urwiska,
Lecąc ożywczą w dół kaskadą,
Z jasnością świeżą, srebrną, bladą...

Szczyt zasię białe pienia śniegi,
Jak puhar, pełen aż po brzegi,
Złamanym błyskiem słońca miga,
I wiecznym chłodem w lód zastyga...

Wędrowiec w niżniach zrywa kwiaty
 I piersi krzepi świeżą wonią;
 Na połoninie zdrój skrzydlaty,
 Jak ptaka w locie, chwyta dłonią;
 Aż gdy lodowe gór widziadło
 Tchem swym zastudzi krew na szczycie,
 Wtedy się pyta z twarzą zbladłą:
 „Życie! gdzie jesteś, ciepłe życie?”

* * *

Wierchy! wy wierchy zamrożone,
 Na djamentową gór koronę,
 Posepne siostry czarnej chmury,
 Wy nie jesteście sercem góry...
 Prąd, co z rodzinnej bije ziemi
 Tętnami młodych sił żywemi,
 Wam nie przenika piersi drżeniem
 I nie zajmuje krwi płomieniem...
 Zastygłe w bieli, niskim stokom
 Ciężycie masą granitową
 I zimną, trupią waszą głową
 Dech zamrażacie tym obłokom,
 Co deszcz wiosenny ziemi niosą,
 I plony pracy krzepią rosą...
 Gdy burza siecze wasze ciało
 I piorunową kryje szatą,

Lodowisk waszych płachtę białą
 Po nad góralską widzę chatą
 I drzę, i pytam przerażony:
 Ach! na co górcom te korony?

VII.

Rabsztyn.

Słuchaj mnie bracie! nie to jest ruina,
Co gżemsy swoje osuwa zemdlone
Na białych kolumn głowice pieszczone,
Po których pajak sieć szarą rozpina,
Nie to, co skrzypi pod twemi stopami,
Dach tłumi pyłem, rdzą surową plami,
Z rąk się wilgotna ślizga, jak gadzina,
Nie to, gdzie straszy loch czarnemi usty,
Gdzie strop, przyćmiony grobowemi chusty
Pleśni, zaledwie barwy swe wspomina;
Nie to, gdzie wiązań osłabłe ramiona
Podźwignąć nie chcą baszty, która kona
Boleścią matki nad mogiłą syna,

Nie to, gdzie duchy pokutne się włóczą;
 Nie to, co działość wychowuje kruczą,
 Nim wielka orłów wybiję godzina;
 Gdzie kamień zdradza i z pod nóg ucieka,
 Gdzie się zniszczenie w ciało przyobleka...
 Wierz mi, mój bracie, nie ta jest ruina!

* * *

Czy widzisz tłum ten, co śmiechem znieważa
 Echa drgające w zakątach zamczyska?
 Co przybiegł tutaj szukać widowiska
 I z za szkieł groby obliczać cmentarza?
 Ten tłum, co nędze swoje i śmieszności
 Aż tu, pod słupem dziejowym przeszłości,
 Rozkłada, nakształt miejskiego kramarza...
 Z myślą, motylej i treści, i wagi,
 Palcem dotyka, gdzie szkielet drży nagi
 I dźwięki bruków w świątyni powtarza.
 Ten tłum, którego piersi nie goreją
 Żadnem wspomnieniem, i żadną nadzieją,
 Jako wygasłe ognisko nędzarza,
 Niezdolen chęci rozdmuchnąć w grom czynu,
 Nad gmin wzniesiony, a niższy od gminu,
 Wobec tradycyi i wobec ołtarza;
 Ten tłum, ze wzruszeń odarty, wyzuty,

Pusty, przeżyty, wyczerpany, struty,
 Co szalę dziejów do zguby przeważa,
 W którym skrę ducha grom chyba rozpali, —
 Ten jest ruiną!...

Bracie, pójdmy dalej.

VIII.

W Jaworkach.

Ej wy góry, mgławce góry,
Zakłete do koła!
Myśl orlemi leci pióry
Na wasze przyczola,
I z jaskółką skrzydła macza
W srebrnej rozpadlinie,
Z dziką kozą skok zatacza,
Z echem w dali ginie

* * *

Mnieby zamek mieć kamienny,
 Jak Drubażka szumna!
 Jar pod koszar, jak Stos senny,
 Jak Litenbar — gumna!
 Kwiaty rwać mi na Podskalu,
 Paprocie na Graniu;
 Na Prechybie łązy z opalu
 Zbierać o zaraniu.

* * *

W niżnie szare już nie wrócę!
 Z orłami polecę...
 Z mgły przepaściom mosty rzucę,
 Wzrokiem je rozświecę.
 Mchy, stóp ludzkich nieświadome,
 Zgniotę w srebrne ślady.
 Pójdę, gdzie błyski ruchome
 Wschód rozpala blady;
 Z kąd ucieka, bijąc w skały,
 Potok rwący, dziki;
 Pójdę; będą mi śpiewały
 Brzęczące kamyki,
 Rozbłękitni się nad wodą
 Widnokrąg daleki,
 Górskie echa chór zawiodą,
 Zaszumią smereki.

* * *

W przepaść rzucę bóle ziemi,
 Myśl skapię w lazurze;
 Z obłokami słonecznemi
 Rozbłysnę się w górze.
 Róg mi dajcie! róg pastuszy,—
 Pieśnią się zabawię...
 Niech połowę tęsknej duszy
 W górach tu zostawię!

IX.

Na Dunajcu.

Lecimy!... on mnie w swoje pochwycił ramiona
I runęliśmy w przepaść z skalistego proga...
Fala, żarem mojego ducha przenikniona,
Modrym słupem bryznęła, aż w niebo, do Boga,
Skrytego za sklepieniem swoim tajemniczem...
Za nią poleciał krzyk mój, pytaniem nabrzmiały,
I potracił błękity, i powrócił z niczem...

* * *

I runęliśmy w przepaść... najskrytsze szczeliny
Rozdniały od strzał srebrnych, które puścił z sykiem
Dunajec przez granitów zwałonych odłamy;
I wszystkie przemówiły dziwacznym językiem
Jakieś pełnej burz, wstrząśnień, przeddziejowe
[dramy;

I zaczęły się skarżyć cicho, jako starce,
Którym czci nie wyrządza wnucze pokolenie,
I o których niewdzięczne zapomniały syny...

* * *

Precz łódko! i ty, wiosło! Niech w szalone harce
Pochwyć mnie tej fali stalowe pierścienie!
Jak delfin, w modrych toniach spławię grzbiet
[mój ślizgi,
Czołem rozbije pianę skroploną na bryzgi,
I w powietrzu ustami zdmuchnę te opale!...
Ha, co tak wre?—krew moja, czy Dunajca fale?...

* * *

Przylegam do wód piersią, jak strzała do łuku;
Ich pośpiechem zdyszany, ich tętnem kipiący,
Mieszam bezwiedny okrzyk do gromkiego huku,
Od którego brzeg skalny drży, jako reduta,
Ogniem podminowana i dymem zasuta.
Tajne prądy nurtują do dna potok rwący,
Jak pierś moją namiętne, tłumione porywy...
Ja wyciągam ramiona, jak jeździec tej fali,
I nagle ją do biegu, i chwytam się grzywy
Srebrnej mego rumaka, i pędzimy dalej...

O! dalej!... chciałbym uciec od brzegów tych
[ciasnych
I lecieć tam, gdzie księżyc wschodzi zadumany,
I o rąbki tych chmurek, od gwiazd łuny jasnych
Oprzeć skrzydła—i spocząć, jak orzeł ścigany!

Klaudia.

I.

Wczesnym się rankiem Roma ze snu zrywa...
Od Awentynu leci wieść straszliwa
I wiecznem miastem zgroza wstrząsa blada...
— Wielcy Bogowie! deszcz kamienny pada!
Strzaskanych głązów zgrzyt w powietrzu słyhać,
Lecą — i zemstą zdają się oddychać...
Wschód zakrwawiony z za Tybru wyziera,
Niby płomienna zniszczenia bandera;
Ciężkie chmurzyska nad miastem się wloką.
A jakby Jowisz kamienną opoką
Tron swój wieczysty druzgotał na szczęty.
Takie się wałą granitu odłamy
Na place miejskie, na forum, u bramy,
Tocząc się z mostu w Tybrowe odmęty,

I barykady dziwne w oka mgnieniu
 Wznosząc w ulicach, kamień po kamieniu.—
 — Barroniusz pójdzie kiedyś do okopów,
 Nazwać te głazy „budową Cyklopów“.
 Zamęt, ścisk, trwoga... lud tłoczy się, krzyczy,
 Pomnaża ciżbę zastęp niewolniczy,
 Który, jak zwykle, dzień publicznej klęski
 Już brał za odwet krzywd swoich zwycięzki...
 — Gniew bogów, choćby nawet gniew kamieni,
 Ma sprzymierzeńców, gdzie są uciśnieni.
 Rzuca miękiego triclinium wygodę
 Lelius, w pół ledwo utrefiwszy brodę;
 Klisten wybiega, zdyszany, bez wieńca;
 Lucynie braknie kupnego rumieńca;
 Tryfoniusz opak chlamidę nakłada;
 A wszyscy krzyczą: „biada! biada! biada!...
 Eheu! eheu!... o Jowiszu grzmiący!
 Rozmarszcz brew swoją, która bogi kruszy,
 I wskaż, jakimi ofiary dymiący
 Ołtarz ci podnieść?“—

Tak modlą się w duszy
 Obywatele Romy; strach przygina.
 Kark, choćby twardy, jak kark Rzymianina.

* * *

II.

— „Do ksiąg sybilskich pośpieszcie kapłany,
 Wróżby z pod klamer dostańcie dwunastu
 I w nich czytajcie, czem zagraża miastu
 Cud ten złowrogi, cud ten niesłychany?

Ty, ludu, czekaj! pierś twa bez oddechu
 Niechaj przynagla kroki ich skwapliwe...
 Hermesie! boże skrzydlaty pośpiechu,
 Bądź z nimi!“

Lecą godziny straszliwe
 Oczekiwania... mdleją w sercach tępna;
 Ciżba dysząca, trwożna i namiętna,
 Na przód podana, jako morska fala
 Prze się pod samo wzgórze Kwirynala...
 Otwarte usta, płonące źrenice
 W lot chcą pochwycić wróżby tajemnicę.
 Na raz — dreszcz przebiegł tłumy... między

[zgrają

Podniosł się okrzyk: „wracają!.. wracają!“
 Z odkrytą głową wszedł augur na wzgórze,
 Kresząc hieroglif łaską swoją krzywą,
 A wrzawy tłumów zażegnawszy burzę,
 Tak mówił mową dziwnie przenikliwą:
 — „O ludu rzymski! ten deszcz granitowy

Wieszczu nam ciężkie klęski i niedolę.
 Może Numidy rzucać step jałowy
 I przyjdą nasze zaorywać pole...
 Może Etruski sztuką jaką zdrađną,
 Lub inne wrogi w bramy miasta wpadną...
 Może Kampanja urodzi bliźnięta:
 Głód i mór blady... może... o! przekłeta
 Głowa ta siwa, co wam klęski wróży! "
 To mówiąc, starzec palce swe zanurzy
 W srebrzystej brodzie, a rwąc ją w żało bie,
 Za wieszczby swoje złorzeczy sam sobie.
 Tłum jęknął głucho, jakby ujrzał zdala,
 W jasnowidzeniu, hufce Hannibala.

* * *

Wtem drugi augur zadumany kroczy:
 W księdze Sibilli utopione oczy
 Podniósł powoli, i spojrział do koła,
 I rzekł: „Rzymianie! rozjaśnijcie czoła!
 Oto co wróży księga prorokini:
 — Gdy nieprzyjaciół jarzmo na was czyni,
 Gdy głód ogryza kości własnych dzieci,
 Gdy mór na skrzydłach zaraźliwych leci,
 Romie zbawieniem od śmierci i wrogów
 Będzie Idea, wieczna matka Bogów,
 Którą Pessinont w świątyni swej chowa“. —
 Zaledwie augur wymówił te słowa,

Tłum, jako morze, chłostane przez burze,
 Zawrzał, zahuczał — i tak ścisnął wzgórze,
 Jakby w objęcia chciał je wziąć z kapłanem...
 A kapłan powiódł okiem zadumanem
 Po ciżbie — i rzekł:

— „Lecz tylko w ramiona
 Męża, co w piersiach ma serce dziewicze,
 Zejdzie z ołtarza bóstwo tajemnicze...
 Kto się niegodny dotknie doń—ten skona“.
 A tłum się cofnął milczący — i w ciszy
 Liczy się z sobą. — Ludu! Jowisz słyszy!

III.

Jest w Rzymie młodzian, czysty jak dziewica;
 Lat mu dwadzieścia cztery już dobiega,
 A piękność niewiast, co żądze podżega,
 Nigdy płomieniem nie pali mu lica,
 Nigdy w nim mętnych pożądań nie budzi;
 Jak bezcielesny duch żyje wśród ludzi...
 Czoło ma jasne, jak dziewczyna młoda,
 Z oczu mu patrzy cisza i pogoda,
 Ust jego usta nie tknęły płomienne...
 A jakieś mgliste obrazy wpółsenne,

*

Któremi rozkosz wabi go z daleka,
 Odpycha, jako niegodne człowieka.
 Gdy tęskni — pieśń mu starczy do zabawy;
 Kocha Rzym, braci i nadzieję sławy...
 Toż gdy, po tajnej z sumieniem naradzie,
 Senat w dwie urny gałki losów kładzie,
 W głos jeden buchnie cisza niezliczona:
 „Scypjona chcemy! Scypjona! Scypjona!...
 On niech do Frygji poprowadzi flotę,
 I Attalowi skarby szczerozłote,
 Medynny zboża i szat drogich mnóstwo.
 Niech odda w zamian za ochronne bóstwo.
 Nigdy godniejsze nie tknęły ramiona
 Żadnej bogini... Wyślijcie Scypjona!“
 Nie wiem, czy zacni brodacze w senacie
 Wyborem takim byli ucieszeni...
 Senon, Papinjan, lekko się rumieni...
 Lecz nie z radości. — mylisz się mój bracie —
 Tak niskich uczuć nie pokrywa toga;
 Zresztą — głos ludu był już głosem Boga.

IV.

Kryształnym szlakiem od Ostji przez morze
 Lekka flotylla srebrną bruzdę porze;

Białe jej żagle, brzeżone purpurą,
 Jak skrzydła mewy trzepocą się górą,
 Technieniem swem nagłąc statek w chyżym biegu...
 Z wioseł pryskają piany nakształt śniegu.
 W pół obnażeni atleci wiosłarze,
 Ruchem kolejnym chyląc się po parze,
 Wznoszą ramiona żylaste, drgające,
 Które w bronz żywy przepaliło słońce;
 A fala gniewna, jak rumak stepowy,
 Co poczuł nagle uzdę i podkowsy,
 Żuje wędzidła, srebrną parą bucha
 I drży — i parska — przecież jeźdźca słucha...
 O! spiesz, Scypjonie! o spiesz! niech widomie
 Zagości bóstwo w zrospaczonej Romie,
 Niech ją prawicą wyciągnioną strzeże!..
 Już tłumy ludu zaległy wybrzeże,
 Jak przypływ morza huczac niecierpliwe...
 Augur zdala wzniosł czoło sędziwe
 I rzekł: „o ludu! tyś na całym świecie,
 Jak mąż potężny, a słaby — jak dziecko!“ —

* * *

Valerius Falton o wspaniałej brodzie,
 Którą w senacie podczas obrad gładzi,
 Orszak Rzymianek dostojnych prowadzi,
 Przodując zacnie w poważnym pochodzie.

Gdy statek piersią z brzegami się zetrze
I krzyk radosny rozegrze powietrze,
Domowych ognisk kapłanki te czyste
Z pokładu wezmą bóstwo tajemnicze
I nieść je będą w miasto wiekuiste,
Rąbkiem szat białych zakrywszy oblicze...

* * *

Tłum dech wstrzymuje.—Patrz! prosto, jak strzała,
Płyną tu... widać już żagle i wiosła;
Mglista flotylla mknie, jak gdyby rosła,
W oczach tężeje i nabiera ciała.
Już na pokładzie dojrzeć może oko
Młodzieńczą postać smukłą i wysoką —
To Scypjon!

V.

Cóż to? — opodal, jak kwiatek,
Rzucony w wodę w zadumy godzinie,
Lub jak perłowa koncha, lekko płynie
Jakiś nieznany, drobny, nikły statek..
Numid zsiwiał na żarach pustyni,
Numid na wietrze gorącym spalony,

Droge mu krętą po-przez fale czyni,
Pluskając lekko wiosłem w obie strony,
Jakby igraszki przypomniał chłopięce.
W łodzi, niedbale zwiesiwszy na ręce
Główkę ciężącą bogactwem warkoczy,
I w morzu czarne utopiwszy oczy,
Kłęczy wpatrzona w głęb' toni żeglarka.
Nie wiem, czy na dnie liczy piasku ziarka,
Czy drobnych rybek śledzi korowody,
Czy jak w lusterko patrzy w szklane wody;
Lecz gdzie spojrzenie jej w fale zapadło,
Morze odbiło gwiazdy, jak zwierciadło.
Prawe jej ramię nagie aż do spinki,
Co pierś zakrywa tuniką Greczynki,
I łunę złota rzuca na jej ciało,
Z łodzi zwieszone; a przez dłoń jej biała
I drobne palce morze, szemrząc, pluska,
I tak się marszczy, jako modra łuska.

* * *

Lecz nagle, niby ze snu rozbudzona,
W stronę flotylli zwróciła swą głowę,
I oczy duże, oczy opalowe,
Utkwiła, milcząc, w źrenicach Scypjona.
Coś się w powietrzu zmieszało... czy fale
Rozkryły na dnie perły i korale;

Czy wiosła pieśni zaśpiewały młode;
 Czy żar słoneczny w parę zmienił wodę;
 Czy nenufary rozkwitły u brzegu;
 Czy gdzieś syrena plusnęła się w biegu;
 Czy żagiel zadrgał, jako pierś człowieka;
 Czy drobna rybka przed siecią ucieka;
 Czy gdzieś kaskada leci namiejętna;
 Czy morze wzbiera i podwaja tętna;
 Czy gdzieś Najady zaplotły się wieńcem;
 Czy srebrne piany spłonęły rumieńcem...
 Któż zgadnie?... Scypjon usta spragnionemi
 Chwycił powietrza głęboko... głęboko...
 A potem zadrżał i spuścił ku ziemi
 Dziwnemi żary pałające oko.

VI.

Jeszcze za wiosłem rozprysnięte pianki
 Gasły w powietrzu, w tęczowej iskierce
 Zwierciedlac ciche, przejrzyste błękity,
 Gdy okręt wstrząsł się i stanął, jak wryty.
 Przekleństwo!... Scypjon poczuł, że ma serce,
 Bijące żądzą dla ziemskiej kochanki!
 Próżno wiosłarze, jak łuki wygięci,
 Chłoseczką wiosłami obumarłą falę,

Próżno z wód krzeszą iskry i opale;
 Okręt się w lewo, to w prawo zakreśli,
 Przechyli, zadrgnie i znów nieruchomy,
 Jak fatum, wróży zagubę dla Romy.

* * *

— „Na barkach własnych wynieśmy boginię!
 Choćby po trupach, ktoś przecie dopłynie
 I miasto zbawi!... Kto się na śmierć waży?“
 Dwóch, trzech, dziesięciu rzuci się żeglarzy
 Tam, gdzie bogini, w swej bieli kamienna,
 Żrenicą z głazu patrzy, niby senna,
 Niby pochmurna, niby zadumana,
 Na spłoniętego rozkoszą młodziana.
 Hanon wyciągnął ramię gladiatora
 I dotknął białej draperji... w tem, nagle,
 Grom huknął w maszty — i świszcząc zdarł ża-
 [gle...

Hanon padł martwy, oczyma upiora
 Wpatrzony w bóstwo, nad którego czołem
 Węże błyskawic zaplotły się kołem,
 Rzucając łunę ognistą, czerwoną,
 Na brew zmarszczoną i kamienne łono.

* * *

Przez tego trupa z obliczem zczerniałem,
 Co drogę w poprzek zawalił swem ciałem,

Nikt nie śmiał dłoni ściągnąć; a wśród ciszy
Słysząc, jak piorun warczy, grozi, dyszy...
— Niechaj śmiertelny zmaży swej się lęka;
Bowiem grom dzierży wiekuista ręka.

VII.

Z brzegów tymczasem wrzawa się podniosła:
Krzyki powietrze sieka, jako wiosła;
Piersi, jak żagiel statku, wzdyma burza;
A lud, jak odmet, prze się, kipi, nurza,
I wre, i szumi, i pryska w przestworza
Piąną uniesień. — Augur z oddali
Spojrzy i rzecze: „oto są dwa morza,
Lecz spokój mędrców jest po stronie fali“.

* * *

Rzucając wkoło spojżenia sokole,
Valerius dojrzał drobną, nikłą barkę
I pogrążoną w zadumie żeglarke,
Która się własnym marzeniom uśmiecha...
A jej przepaska, puszczone na wodę,
Z wiatrem się niesie, jak skrzydła motyla...
Dojrzał i szepnął: „Klaudja“...

Była chwila

Ciszy wśród tłumu po tym szepcie; echa
Tylko nadbrzeżne, miękie i pieszczotne,
Szepnęły: „Klaudja“... i umilkły drżące,
Jakby to imię miało samo z siebie
Jakieś oddźwięki namiętne, palące,
Od których wędną kwiaty i wilgotne
Rosy zajmuje płomień, a na niebie
Gwiazdy blednieją i lecą strącone...
Lecz chwila była krótką; oburzone
Matrony rzymskie spojrzały zjadliwie
Na tę samotną i na tę niedbałą
O świat, i ludzi, i wrzawę ich całą,
Na tę milczącą dumnie i wzgardliwie...
I wnet, za pierwszej Lucyny przykładem,
Ostre przymówki sypnęły się gradem:
— „Klaudja bez grona niewolnic wychodzi“...
— „Klaudja, w kosztowne przybrana tkaniny,
Z głową odkrytą, jak miejskie dziewczyny,
Z jednym Numidem zasiada do łodzi“...
— „Wszak na ozdobę żeńskiemu strojowi
Pół uncji złota *Lex Oppia* stanowi;
A Klaudja depce krajowe ustawy:
Złoto w przepasce w trójnasób przeważa“...
— „I dziś, dla godnej zalotnic zabawy,
Sama w tej barce płynąć się odważa“...

— „Gdy płocha młodzież wielbi wdzięki marne,
Oczu nie spuszcza, nie rumieni lica“...
— „Męża za pana nie zna, niewolnica“...
— „Śmie w niebo zwracać oczy swoje czarne,
Jakby pytała u Bogów zuchwale,
Czy sprawiedliwie dzierżą losów szale“...

* * *

Słów tych słuchając, Falton ręką białą
Przyglądał brodzie i rzekł: „Na Jowisza!
Wiem ja, z kąd morzu ta niemoc i cisza“...
Jeszcze nie skończył już w ciżbie zawrzało...
Wskazał na łódkę — a oto wnet z tłumu
Wyleciał kamień, ciśnięty jak strzała...
Wyleciał, świszcząc, i wśród fali szumu
Tak się trzepotał, jakoby jaskółka,
Lecąc nad wodą, pióra w niej maczała.
Padł; a tuż po nim rozbiegły się kółka
Po drżącej wodzie, coraz szerzej, dalej,
W krążki i kregi ciemne, aż na fali
Wielka się plama czarniawa wylęła,
I steru barki bokiem swym dosięgła,
I objęła ją zmaconemi prądy,
Rzucając na nią cienie, jako trądy.
Angur zadrżał i rzekł: „Wielkie Bogi!
Widziałem dzisiaj sądów ludzkich drogi“.

VIII.

Zaledwie morze wygładziło lica,
Padł drugi kamień, jak zatruta strzała,
I przyniósł z sobą słowo: „Zalotnica!“
Głośnie, syczące. — Żeglarka powstała,
Strząsając z szaty rozbryzganą pianę,
I obracając oczy zadumane
Na brzeg, gdzie ryczał tłum, wściekłością zjęty,
Biały kwiat z włosów rzuciła w odmetry,
I rzekła: „oto broń moja jedyna...
Widzę tu sędziów — ale gdzie jest wina?“
Słowa jej z fali mieszały się szumem
I powróciły, w pół drogi odbite
Gradem kamieni; rozwścieczonym tłumem
Falton dowodzi; on najtrafniej ciska...
Patrz! kamień z rąk mu, jak z procy, wypryska
I trafia ramię żeglarki odkryte,
Przepaskę ciała dając koralową...
Porwał się Numid i jak lew zraniony,
Ryknął: pustynię wspomniął i swobodę...
I drgającemi, czarnemi ramiony
Wyrwał maszt z łodzi, okręcił nad głową
I z świstem rzucił przez spienioną wodę
W sam środek tłumu.

Ruchem monarchini

Wstrzymała Klaudja dzikiego wioslarza.

— „Stój!“ — rzecze — „Jowisz sąd nad ziemią
[czyni!...]

Niechaj się słaby nigdy nie znieważa
Walką z silniejszym... chcę cierpieć dostojnie“.
A potem, wzniosłszy, piękną głowę hardo,
I wodząc okiem po tłumie z pogardą,
Wsparła na sterze rączkę swą spokojnie
I rzekła: „Wielki ojców moich Boże!
Sądź mnie tu, teraz, w obec tego ludu.
Jeślim się żadną nie zmazała winą,
Ty spotwarzonej daj świadectwo cudu:
Niech za mym pasem, rzuconym na morze,
Wstrzymane statki do brzegu dopłyną!“ —
Rzecze — i z bieli szat swoich powiewnych,
Szarfę błękitną, tkaną w gwiazdy złote,
Niewolnic z Tyru przedziwną robotę,
Z wolna odwija.

Cisza, jak w świątyni,
Zaległa brzegi... tylko gdzieś z daleka
Konają resztki jakichś szmerów gniewnych,
Jak echa burzy. — Jowisz sądy czyni...
A niech śmiertelny pomsty nie docieka!...

IX.

Z ostatnich węzłów pas Klaudji rozwity
Zadrzał od wiatru, czy od bicia łona...
A w chwilę potem żeglarka wzruszona,
Promiennym wzrokiem wpatrzona w błękity,
Szepcąc: „o Bogi!.. spełnijcie przysięgę!“...
Rzuciła w morze lazurową wstęgę,
Widną na falach, jako mleczna droga
Od pokrzywdzonej do sędziego — Boga.

* * *

Okrzyk namiętny podniósł się z okrętu:
To głos Scypjona... buchnęły płomieniem
Piersi młodzieńcze... wyciągnął ramiona —
I — jednym fale zmierzwszy spojrzeniem,
Jak stał, tak skoczył, i znikł wśród odmetu.
— Morze! dzień Zamy blizki!.. straż Scypjona!..

* * *

Tłum zawrzał głucho, wstrząsany koleją
Dreszczami zgrozy i cudu nadzieja...
A taka cisza wybrzeże zaległa,
Żeś słyszał chwilę tę, jako w wieczność biegła.

Dziwna to cisza! słychać serca bicie,
Szelest krwi w żyłach i oddechu drżenie,
I jako struna przejące się życie,
I wszechpotężną wymowę — milczenie.

X.

Piersią drgającą odtrącając piany,
I szturmem biorąc każdy cal przestrzeni,
I szlak przed sobą pięścią bijąc szklany,
Za sobą krzesząc snop drogich kamieni
I bruzdy znacząc wskrós morza tęczowe,
Dopływa Scypion do łodzi.

Wzniósł głowę

I patrzył chwilę, płomienny i blady,
W czarne źrenice milczącej żeglarki.
A potem wyrzekł: „wierzę!“... i owinał
Rzuconą wstęgą rękę, i od barki
Potężnym rzutem zwróciwszy się, płynął
W spienione jeszcze po za sobą ślady.

* * *

Blisko już... bliżej... wyciągnięte ramię
W dwoje ostatni bałwan wody łamie;

Ostatnią przepaść ziejącą zwycięża,
Dosięga liny, chwytą ją, wypreża
I wiąże do niej błękitną przepaskę,
I falom rzuca na łaskę, niełaskę...
Drżycie!... Sąd Boga!...

* * *

Schwytny za skrzydła

Ciszą śmiertelną, okręt, jak ptak dziki,
Pojman w zdradzieckie, kryształowe sidła,
Miota się, zrywa, drży... tłumu okrzyki,
Który, jak wulkan, lawą szału bucha,
Niecą widomie jakiś zapal męzki
W rzeczy tej martwej, co zda się mieć ducha,
I lekko, chyżo, pochód swój zwycięzki,
Jakby otęskniona do brzegów i ziemi,
Przyspiesza, wiejąc żaglami białymi.

* * *

„Klaudja!“ tłum krzyczy, „Klaudja niech bogini
Z białego kwiecica ofiarę uczyni!“...
— „Klaudja niech orszak dziewiczy prowadzi!“...
— „Evoe! Klaudja!... szlijmy do niej posła!“...
Valerius Falton piękną brodę gładzi
I rzecze: „płyń, niech podają wiosła!“
A tam na falach cicha, nieruchoma,
Ze złożonemi na piersiach rękoma,

W chwiejącej łódce bez masztu, samotna,
 Błądząc myślami po za tłumu wrzawą,
 Stoi żeglarka. Żrenica wilgotna
 W przestrzeń gdzieś patrzy w pół dumnie, w pół

[łzawo,

I widzi może przyszłych wieków ruchy
 I sprawiedliwość, pojętą przez duchy.

Idylla.

Na wiosnę wśród braci słowików i róż,
 Idylla wstaje...
 Powojem ukwieca zielone tła wzgórz,
 Konwalją gaje...
 Nad rzeczką w wilgotnych oparach, we mgle,
 Zasiada z fletnią,
 I kwiaty uśpione w miłosnym pół śnie,
 W noc budzi letnią.
 W poranku z skowronkiem jednoczy się w chór,
 Śpiewając: „ave!“
 I zbiera o wschodzie z obrąbków tych chmur
 Błaski jaskrawe,
 I z rosy perłami w dyadem je tka
 Na pasku tęczy,

W porannym pacierzu pastuszka łąą drga
 I cicha klęczy...
 Aż zerwie się bujać po lesie, jak ptak,
 Z wierzchów na wierzchy;
 A za nią promienny posuwa się szlak,
 Rozjaśnia zmierzchy.
 Draperją przejrzystą, jak dźwięk i jak woń,
 Owija ciało,
 I wianek wesela przypina na skroń
 Słoneczną strzałą.
 Schylona nad źródłem rozplywa się w śmiech
 Swawolnej dziewy,
 I wróży z kukulką i ginie wśród ech
 Pomiędzy drzewy.
 Przez kamyk, co drażni krzyszały tych wód,
 Mknie jak kaskada...
 Z klekotem bocianów ciągnących z nad błót
 Na dach twój spada.
 Gdzie jabłoń różowy rozpuszcza już pąk,
 Patrzy z zieleni...
 I rada się kładzie na puchu twych łąk
 Smugą promieni.
 Czaruje fujarki, poddając im ton
 Przeciągły, śpiewny...
 Na starej cerkiewce rozdźwięka, jak dzwon,
 W hymn rośnie rzewny...

Aż z trzaskiem łuczywa do chaty, jak duch,
 Na chwilę wpada,
 I mrozi ci serce, i pieści twój słuch
 Dumka, ballada...
 I ducha twojego nawiedza, jak gość
 Z krainy cudu...
 Orzeźwia w omdleniu i mówi łzom: „dość“,
 Wyjarzmia z trudu.
 Stepowym powiewem przeciąga przez świat,
 Wieszczka przyrody,
 Zaprasza myśl twoją, i gwiazdę, i kwiat
 Na wspólne gody.
 A gdy ją odpędzasz od złotych swych bram,
 O synu wieku!
 Ucztuje z słowikiem — a ty jesteś sam
 W miast brudnym ścieku.

* * *

Ja lecę z obłokiem, gdzie wiosna, gdzie maj,
 Gdzie serca święto,
 Nim ptaszki ucichną, nim zmierzchnie ten gaj,
 Nim łąkę zżęto.

P o b u r z y .

O Panie ! Ty po burzy dajesz tęczę światom ,
Podnosisz słabe główki pochylonym kwiatom ,
Rozwijasz skrzydła ptasząt i ostatnią chmurę
W rozjaśnionego słońca przystrajasz purpurę . . .

* * *

Do jutra cicha wioska ochłonie z przestrachu :
Ktoś wesprze zgiętą jabłoń, ktoś krokwie na dachu .
I zanim młoda jutrznia z wschodu się wynurzy,
Szczęśliwi wsi mieszkańcy zapomną o burzy.

* * *

O Panie ! Ty konieczne żywiołów niesnaski
Z oblicza ziemi ścierasz prawicą swej łaski ,

I nie zostawiasz śladu klęski albo troski,
W przejrzystych sferach ciszy, gdzie masz tron
[ojcowski.

* * *

Ach! czemuż w piersi ludzkiej, rozbitej od gromu,
Zamiast ciszy i tęczy jasnego pierścienia,
Pozwalasz, aby grzmiały głucho, pokryjomu,
Echa burzy duchowej, trujące wspomnienia?

Anioł miłozenia.

Z lutnią, po której złote struny biega,
Kłęczę na rąbku szaty Najwyższego,
I białe czoło obracam w tę stronę,
Kędy wirują globy rozpędzone.
Przejrzystą dłonią wygładzam etery,
Echem miarkuję rozśpiewane sfery,
By nie przerywać ciszy majestatu...
I pokój... pokój... pokój! szepczę światu.

* * *

Byłem, gdy z myślą Bóg rozmawiał własną,
Byłem, gdy w służbę wziął jutrzrenkę jasną,
Byłem, gdy z mgławic, co Mu zdobią szaty,
Strząsał dzień białe i słoneczne światy.

W pierwszym zwierciadle błękitnego morza
Jam się przeglądał, zanim weszła zorza,
I zanim z paków wytrysnął rój kwiecia,
Ja w rąbku niosłem pokoju stulecia.

* * *

Tam, kędy z okiem opuszczonem stoję,
Dogrzmić nie mogą ziemi niepokoje;
Żywiołów burze ja trzymam w granicy,
Bom jest skinieniem wszechmocnej prawicy.
Kiedy nad zakres do przyszłości biegą
Harde pytania: „po co? i dla czego?”
Ja w białych palcach wstrzymuję zasłonę,
Którą od dzisiaj jutro oddzielone.

* * *

Miedzy błysk gromu a grzmot stołę stawię,
I rosą polnym kwiatom błogosławie.
Na skrzydłach moich wioskę twą kołyszę,
Smutnych łzy liczę i westchnienia słyszę...
W ciszy twych gajów, w poranki majowe,
Tęsknem dumaniem poświęcam twą głowę
I ducha twego prowadzę po niebie,
Byś „siadł i zamilkł i wzniośł się nad siebie“.

* * *

Ja płaszcz królewski rzucam na ramiona
Milczącej nędzy, co w ukryciu kona,
A dłoń wychudłą podnosząc z barłogu,
Samemu tylko spowiada się Bogu.
Ja balsam daję na palące rany,
Ja dźwigam z tobą ból niepodzielany,
Ja tułaczowi pot ocieram z czoła
I z samotnikiem zasiadam u stoła.

* * *

Mędrca mądrością jestem i rozważą,
Myslicielowi daję prawdę nagą;
A jako źródło, bijące od wieka,
Wzmagam, oczyszczam, podnoszę człowieka...
Jam jest wymową grobów i cmentarza,
Urokiem nocy, powagą ołtarza;
Jam jest rapsodem dziejowym ruiny,
Pociskiem wzgardy i rumieńcem winy.

* * *

Kto mnie ukochał, znalazł skarb pogody,
Pokoju ducha i ciszy i zgody;
Zgiełkliwa zgraja pierzcha i ucieka
Od milczącego w zadumie człowieka.

* * *

Ja jestem słońcem, pod którego żarem
 Dojrzeć zamysł, i jam jest ciężarem,
 Którego słabi podźwignąć nie mogą...
 Jestem potęgą, której zdeptać nogą
 Nie podążają najwięksi mocarze...
 Ja jestem siłą, co zniewagę karze...
 Jam broń niewinnych i pomsta straszliwa,
 Od której zbrodzeń tajny dogorywa.

* * *

Nad popiołami zwyciężonych grodów
 Otrząsam z skrzydeł nadzieje narodów,
 Lecących w próżnię, jak wymietna plewa,
 Którą wiatr przed się drażni i rozwiewa...
 W białych kłęsk ślady postępuję krwawe,
 Z nędznym skazańcem jedną dziele ławę;
 Na zgłiszczach śpiewam Hiobowe pienia,
 I jestem czarną chorągwią zniszczenia.

* * *

Najbliższy Panu i najmilszy Panu,
 Ja z perłą padam na dno oceanu,
 I z ciszą morską odbywam narady,
 Których z przestrachem słucha sternik błądy.

* * *

Nad bojowiskiem wyciągam ramiona,
 Jestem modlitwą tego, który kona
 I jestem krzykiem matki, gdy przybieży
 Odszukać syna wśród trupów żołnierzy,
 I krew jej ścinam, i wstrzymuje tętna,
 I na niej żywej trupa kładę piętna.
 A przy kurhanie, co zamknął dzień czynu,
 Ja stoję w miejsce pomników, wawrzynu,
 I tam, gdy zimny dziejopis nie słucha,
 Stepom skon męcznych podaję do ucha.

* * *

Pod krzyżem Zbawcy, gdy wiara i miłość
 Rzuciły w żalu Golgoty pochyłość,
 Kiedy odchodził setnik do bram miasta,
 Gdy włos stargany wiązała niewiasta,
 Gdy noc zgłuszyła żołnierstwa okrzyki,
 A echa piły rozgwar ciżby dziki;
 Jam został jeden i słyszałem z drżeniem
 Jęk Boga... ziemio! módlmy się milczeniem!

Opowiadanie rannego.

Zimny poranek ocucił mnie rosą.
Otwarłem oczy, próbując oddechu...
Na piersiach moich głowę złotowłosą,
Pełną młodzieńczych marzeń i uśmiechu,
Trzymał towarzysz broni, chłopiec młody,
Co padł już po mnie, a tak ciężko padał,
Jak ścięte w lesie młodych dębów kłody...
Ten, co mu w serce cios śmiertelny zadał,
Miał oko wprawne i rękę tak pewną,
Że chłopiec upadł i steżał jak drewno,
Zanim konania chwyciły go dreszcze;
Bo uśmiech rzewny miał na ustach jeszcze,
I słówko jakieś nawpół wymówione;
I tylko oczy, ku niebu zwrócone,

Matowym blaskiem świeciły w przestworze,
Zdając się wołać: „umieram, o Boże!“

* * *

Nie miałem siły usunąć tej głowy
Z piersi zranionej... blask słoneczny, płowy,
Raził mi oczy zgryzione od prochu...
Chciałem je przetrzeć; poruszyłem ręką;
Krew mi się z rany rzuciła i cienką
Strugą uchodzić zaczęła po trochu...
Czułem, że jakoś ratować się trzeba;
Lecz myśl zmacona nie dawała rady...
Spojrzałem w górę, a na skrawku nieba
Były, jak gdyby rany i krwi ślady,
I chmurki, jako ciała rozciągnięte,
I dym, i oko Boga, zapalone
Gniewu pożoga, patrzyło na ziemię,
Jakby szukając miejsca do pocisku...
I tak leżałem na tem bojowisku,
Sam nawpół martwy.

Z lewej, z prawej strony,
Twarze poległych świeciły pod słońce
Białością śmierci okropną, zdretniałą...
A krew zakrzepła, jak koral czerwony,
Plamiła czoła, lub w sznurki błyszczące,
Jak szkaplerz śmierci, owijała ciało.

A cicho było tak w tem polu kłęski,
Żem słyszał przelot jaskółek zwycięzki,
Co się po nad niem ścigały z wietrzykiem...
A choć nie padło tam ni jedno słowo,
Cisza ta przecież zdawała się krzykiem,
I jakąś straszną sądów bożych mową.

* * *

W powietrzu drgnęło... przywabiony łupem,
Szumiąc skrzydłami, sęp wzniósł się wysoko,
I chwilę zawisł, jak całun nad trupem...
A jego krwawe i okragłe oko
Błysnęło w górze straszne, pałające
Pomiędzy niebem a ziemią, jak słońce.
Spadł — i hakami szponów swych wszczepiony
W rozbitą czaszkę, szarpał dziobem krzywym
Mętą źrenicę trupa, nad nieżywym
Pastwiąc się, jakby zemstą był trawiony.
I znów się cisza nad polem obniosła
Olbrzymią skargą ust, zwartych na wieki...
A czarne kawki, jak płaczki z rzemiosła,
Jeły zawodzić z suchemi powieki
I tam leciały, gdzie słońce zapada,
Wołając chórem: „biada! biada! biada!“...

* * *

W tem jęk się cichy ozwał z prawej strony.
 Ktoś westchnął: „Allah!“ i turban zielony
 Uniósł się ponad strатовaną ziemię;
 A za turbanem podniosła się głowa,
 I pierś szeroka, i reszta tułowa.
 Olbrzymi Nizam, z czarną jak noc brodą,
 Stał i patrzył, jak umarli drzemia...
 A potem chwiać się zaczął jak pijany,
 Bo krew z odkrytej buchnęła mu rany,
 Śmiertelną chustą czerwieniąc pierś młodą...
 Więc zerwał kaftan z lewego ramienia
 I zwinął rękaw, i w ranę go wcisnął,
 A w prawej ręce kindżał mu zabłysnął,
 Jak nów, — był przecież bledszym od spojrzenia
 Zmartwychpowstańca, co okiem tygrysa
 Patrzy na trupy, zda się krew wysysa
 Z rozbitych piersi wrogów Mahometa.
 Do najbliższego schylił się atleta,
 I tchu w nim szukał, i znalazł go pono,
 Bo mu pchnął kindżał w niezakrytą szyję,
 I krwi wypuścił kaskadę czerwoną,
 I wstał z uśmiechem, i szepnął: „nie żyje!“
 I włókł się chyłkiem, krwawiąc własne ślady,
 Płomienny pomstą, krwi utratą blady,
 I szukał tchnienia, co w piersiach zamiera,
 Tak przypadając cicho, jak pantera...

A gdy dosłyszał, że kto jęknął z cicha,
 Że trup się ruszył, że drgnął, że oddycha,
 Zrywał się z krzykiem szału i boleści
 I kindżał w serce pchał do rękojęści.

* * *

A był tak straszny, jak te mściwe duchy
 Hunnów, co walczą aż po śmierci jeszcze.
 Dzikiego zwierza miał zdradzieckie ruchy,
 Upiora nocy źrenice złowieszcze;
 Na czole, twarzy, krwi zakrzepłej strugi,
 Ponure piętna trupiego uścisku...
 I tak się wlokąc po tem bojowisku,
 Nad śmierć groźniejszy, zabijał raz drugi.
 Chwilami słabnął, przestawał roboty.
 I za pierś chwytał, i chwiał się, i mienił;
 Czoło śmiertelne rosiły mu poty,
 Kaftan krwią z rany przesiąkł i czerwienił
 Pas, co mu pasze biodra wełną białą,
 I zda się życie z niego ulatało...
 Lecz wnet się krzepił; mdlejące źrenice
 Rozpalał ogniem, jako dwa księżyce,
 I jak wąż pełznąć między ciał tych kupy,
 Dobijał rannych.

* * *

*

Już tylko dwa trupy
 Nas rozdzielały. Jakby urzeczony,
 Nie mogłem oczu oderwać od strony,
 Gdzie się przyczołgał ten Nizam straszliwy...
 I tracąc oddech, czułem nawpół żywy,
 Jak kindżał jego pierś mi na wskroś wierci
 I serca sięga... wszystkie męki śmierci
 Oczekiwanej, nieuchronnej, bliskiej,
 Tak mnie chwyciły w żelazne uściski,
 Żem głośno jęknął: Boże!

Nizam dziki
 Dojrzał mnie, skoczył i wyciągnął ręce,
 Rzucając w przestrzeń wściekłości okrzyki...
 Lecz nagle, jakby w dojmującej męce,
 Zwinał się w sobie i przycisnął ranę,
 Z której buchnęły długo wstrzymywane
 Czarnej krwi strugi... zachwiał się, rękoma
 Chwytając próżnię przed sobą... na czole
 Śniada mgła śmierci osiadła widoma...
 Oczy zagasły... pasując się z skonem,
 Zerwał się jeszcze, zatoczył półkole
 I cisnął we mnie skrwawionym kindżałem,
 I trupa tego, którego dźwigałem,
 Przeszył na wylot żelazem czerwonym.
 Był to ostatni cios tej dzikiej dłoni.
 Jak stał, tak runął u nóg mych z łoskotem;

A twarz przedśmiertną łuną mu się płoni,
 Potem sinieje, potem blednie, potem
 Robi się sztywna, przeraźliwie biała...
 I skonał Nizam, szepcząc: „Allah!... Allah!“...

Grünwald.

(Wrażenie przed obrazem Matejki).

Z drogi! z drogi tej przeszłości,

Co z zamierchu i z nicości

Cała krwawa,

Zmartwychwstawa,

Jak zwycięstwa duch!

Oto grzmiąc, jak arkan, leci

Zawierucha tych stuleci,

Co pod zbroją

Wrzące stoja,

Śledząc mieczów ruch.

Uskrzydłona i pancerna,

Hasłom bratnim jak śmierć wierna,

W pole klęski

Zastęp męzki

Z różnych wiedzy stron...

I nie zgadnie wróg krzyżacki,

Czy go miecz dosięże lacki,

Czy go ramie
 Czecha złamie,
 U Litwina nóg.
 Stal goreje, oszczep chrzęści,
 Topór warczy w chrobrej pięści...
 Tam pierś naga
 Tchnieniem smaga,
 Nim dłoń zmierzy cios...
 Okrzyk walki w przestrzeń bucha:
 Szum krwi w żyłach, wrzenie ducha,
 Odmach ręki,
 Zgrzyty, jęki,
 W jeden zlewa głos.
 Hej!... zapłata to odmienna,
 Niż Dobrzyńska Ziemia pszenna!
 Krzywdy stare
 Poza miarę
 Wykipiały krwią...
 Precz z drużyną ztąd służalcą!
 Nieśmiertelni tutaj walczą;
 W szczęku, w pyle,
 Na tę chwilę
 Kładą pieczęć lwia!
 Któż prawnucze serce zmierzy
 Z wielką piersią tych rycerzy,
 Grzmiących w blasku,
 W zgiełku, w trzasku,
 Jako orłów ród?...

Kto dziś zdzierży takie boje?
 Taką sławę, takie zbroje?
 Drzewce stare?...
 Żywą wiarę?...
 Kto dziś stworzy cud?...
 Las zielony patrzy z dala,
 Jak ta burza się przewala;
 W krwi i w dymie
 Wielkie imię
 Dzień ten daje mu...
 Pył, co leci w błękit żywy,
 Szum sztandarów, świst cięciwy,
 W dziejów karty
 Niezatarty
 Pomnik wpiszą chrztu.
 Z drogi! z drogi!... któż dotrzyma
 Rozpędowi sił olbrzyma,
 Co w dniu chwały,
 Zbrojny cały,
 Pogromem się zwał?
 Walczy — miecz się zrasta z dłonią...
 Pędzi — żywa jest „pogonią“...
 On przez wieki,
 W świat daleki
 Sławę niesie w cwał!

Tarcza Scypiona

Et juvenis fuit — et coelebs — et victor.
(*Valerius Maximus*).

I.

Przeszłość, zwinięta jak pergamin stary,
Z kipiącem życiem nie wytrzyma miary.
Kielich łez swoich i swoich zachwytów
Wypiła do dna; i jest jako słońce,
W ogniach zachodu cicho zstępujące
Z purpurowego tronu, z góry szczytów...
Chwila obecna stopę swą młodzieńczą
Stawia na bluszczach, co jej groby wieńczy,
I wznosząc puchar upojen dla świata,
Jak orzeł w skrzydła potężne uderza,

Porywa ludy, walki i przymierza
I z hasłem wieku swojego ulata.

* * *

Przeszłość ruina, rozsypane grody,
Zagasłe gwiazdy, przeżyte narody,
Zatarty napis, co tłumy odstręcza...
Lecz niechaj śpiewak rękę nań położy
I tchem swym wskrzesi pierwiastek ów boży,
Co się w ludzkości jak nić złota wije;
A oto dawno zapomniane słowo
Nabiegnie barwą, niby krwią serdeczną,
I będzie, jako ta wiosenna tęcza,
Nagle rzucona w chmurę brylantową...
Gwiazdy zapłoną, ruina ożyje
I duch poczuje, że przeszłość jest wieczną.

II.

W drżącej, błękitnej Rodanu zatoce,
Drobna się łódka jak ptaszek trzepoce...
Wiosenne wody przybrały z gór stoków
I z rozplakanych deszczowych obłoków
I nowe wiry zerwały się z szumem,
Kręcąc się, niby zakłète wrzeczona,

Co przędą tęcze i promienie słońca...
Piany się na brzeg cisną białym tłumem,
A odepchnięte od skalnego łona,
Drżą i rozbite w lekkie, srebrne puchy,
Błądzą po fali, jak te chwiejne duchy,
Które i ziemia i niebo odtrąca.

* * *

Na brzegu wiosło porzucone leży
I szmat ubogiej, rybaczkiej odzieży,
I sieć zmoczona węzłami lnianemi
Gniecie puszyste mietlice i trawy...
A słońca, promień padając jaskrawy
Pomiędzy lśniące, jako jedwab, skręty,
Perełki wody na sznurach jej drżące,
Które w Rodanie były błękitnemi,
Tak ubrał w dziwnych kolorów tysiące,
Że wydawały się jako djamenty,
I jak opale, i jako rubiny,
W bajecznym jakimś, cudownym poławie,
Na jasność dzienną dobyte z głębiny.
Perły te, w okach rozwieszając tęcze,
Były jak srebrne owe mgły pajęczę,
Które jesienią majaczą w dąbrowie...
Lub jak lzy wielkie, w źrenicy stojące,
Któreimi płaczą w milczeniu tysiące.

* * *

Sieć ta i wiosło, i odzież rybacza,
 I łódka, która, o spienioną falę
 Trącając lekko, pierś swą ledwo macza,
 Niby w pieszczocie oddanej niedbale, —
 Wszystko to, nad czem błękit nieba świeci,
 Jak tajemnicza zasłona ołtarza,
 A na co, w dumy poczuciu głębokiem,
 Przechodzić ledwo chciałby rzucić okiem, —
 Wszystko to, biedne, zużyte, wytarte
 I tylko tyle, co krwawa łza warte,
 Wiosło i odzież, i łódka, i sieci,
 Są wielkim skarbem wielkiego nędzarza.

* * *

On się docisnąć wśród ludzkiej gromady
 Nie mógł do chleba innego; więc, cichy,
 Odszedł na stronę, i gdy godownicy
 Życia wznosili kipiące kielichy,
 Stał nagi, głodny, spragniony i blady...
 Aż związał sieć swą i zbił łódkę małą,
 Wystrugał wiosło i odtąd, wśród trudu,
 Z kapryśnej fali wyławiał kęs chleba...
 I tylko śledząc wiecznie tajemnicy
 W głębiach wód rwących, żrenicą zdretniałą
 Odwykł spoglądać na lazury nieba,
 Tylko, pracując, przestał czekać cudu.

III.

Lecz cud się właśnie stał — tu, dziś, przed chwilą.
 Tam, kędy Rodan, jak ptak biały, leci
 Przez skalne progi, co próżno się siłą
 Wstrzymać ten nacisk namiętny wody,
 Blady nasz rybak zarzucił swe sieci
 I w smutnych myślach tonął nędzarz młody.

* * *

Ach! kiedy starość zgrzybiała i drżąca,
 Zdala od życia rozkoszy i bólów,
 Jako roślina żyje, wkorzeniona
 Siłą nałogu do ziemi tej łona,
 Nic już nie pragnąc prócz chleba dla ciała,
 Mniej to jest straszne... lecz gdy młodość świeża,
 Z której sam Bóg chciał dać swej ziemi królów,
 By jako orzeł leciała do słońca
 I świat ten piersią własną na przód pchała,
 Gdy taka młodość kwitnąca, swobodna,
 Zamiast żyć duchem, musi, naksztalt zwierza,
 Wyłącznie o tem myśleć, że jest głodna;
 To tak jest smutnem, jak gdyby skowronki,
 Co się trzepocą nad pola i łąki,
 I błogosławią pieśnią nasze skiby,
 Nagle wprzęgnięto do pług... jak gdyby

Gwiazdy zebrano na ognisko z nieba...
Jakby kto duszę sprzedał za kęs chleba!

* * *

Zadumanemu ociężał sznur w dłoni;
Sieć poszła głębiej, a łódka skrzydlata,
Siostra jaskółki tej, co nad nią lata,
Już jej błękitnym gościńcem nie goni,
Lecz okręciwszy się około wiosła,
Jak tanecznicza na gibkiej swej nodze,
Nagle, jak gdyby schwytana za wodze,
W cichej zatoki srebrne piany wrosła.

* * *

Zdumiał się rybak. Tam, na dnie głęboko,
Jakoby wielkie, wpółzamknięte oko,
Księżyc w swej pełni utopiony leży
I twarzą martwą, senną i pobladłą,
Wskroś srebrzy jasne zatoki zwierciadło,
Jak dla lepszego odbicia wybrzeży...
Zerwał się rybak, ... sznur sieci napręży...
Dwie sine smugi wzeszły mu na czoło...
W tył przegiał ciało... całą siłą młodą
Sieć swą prowadzi, jak nurka pod wodą.
Z razu, szerokie zakresliwszy koło,
Brzegi jej coraz zaciska i zwięża,

Aż pochwyciła gwiazdę niby w dłonie,
I dziwny połów wyniosła przez tonie.

* * *

Rybak plon srebrny ciągnie na brzeg ślizgi,
Pozbywszy z ramion młodzieńczych siermięgi
I wiosło w trzciny rzuciwszy niedbale...
A fala, gniewne zataczając kręgi,
Śle za nim posły swoje, białe bryzgi
I pękające w miljon tęcz opale
Wzdętych kropelek, które mu na głowę,
Iście królewskie, bo jednochwilowe,
W promieniach słońca zwijają korony.

* * *

Tajemną zdobycz uwolniwszy z sieci,
Spojrzał, i z dziwu skamieniał, jak głazy...
Przed nim pamiątka odległych stuleci,
W napisy jakieś ryta i obrazy,
Leżała srebrna tarcza, oplątana
W długie, jedwabne porostów włókienka...
Tarcza błyszcząca, jakoby ulana
Z promieni, które w pełnię do okienka
Cicho się w nocy skradają i, psotne,
Całują usta senne i wilgotne...
Czyją pierś kryła przed laty? któż zgadnie!...
Mileczą dla tłumów jej zatarte godła...

Może tam kiedyś w chłodnej głębi na dnie
 Z Rodanem cicho rozmowy wiodła
 I rapsod jakiś bohaterski, stary,
 Do jego szumów dostrajała miary.
 Lecz tu, pod okiem ciekawych tysięcy,
 Co się cudowi przypatrzyć zlecieli,
 Leży bez głosu, sztywna i milcząca
 W swojej dziewiczej hardości i bieli...
 I tajemnicą od siebie odtrąca
 Brzmiących zagadek ciekawych czcicieli.
 Tylko, gdy rybak powrócił do chaty
 I srebrną tarczę postawił przy progu,
 I senny upadł na twardym barłogu,
 Wtedy, jak gdyby chór duchów skrzydlaty
 Wzleciał, wśród ciszy tej nędznej ustroni...
 Jakieś się szepty i szmery rozwiały,
 Dalekie głosy, bojowe okrzyki,
 Wojenne hasła, strzał błyski, szczęk broni,
 I w jeden akord stopiwszy się dziki,
 Wśród szumu orłów lecących muzyki,
 Pieśń grzmiącą starej, zapomnianej chwały
 W srebrzystych blaskach tarczy tej śpiewały.

IV.

Noc. Kartagina jako stos się pali,
 Ciskając w niebo iskry, gwiazdy, słońca
 I rozwichrzone komety z koralu,
 Które, jak ptactwa ciżba latająca,
 Tłumnie się w niebo skrzydły płomiennemi
 Rwą z gniazd ognistych, syczących przy ziemi,
 I krzesząc smugę po za sobą jasną,
 W głębinach morza toną, pełzną, gasną.

* * *

O nocy! małoż tobie srebrnych globów,
 Co drżą wśród cieniów twoich tajemnicze?
 Trzebaż ci jeszcze rozpłomieniać grody
 I z zwyciężonych ludów palić znicze,
 I na stos rzucać wolność, krew, swobody,
 I łuną zdradzać czarną nicość grobów?...
 O nocy! krwawa współniczko płomieni,
 Mordów, podstępów i nieszczęść i zbrodni!
 Czyż nigdy blade światło twych pochodni
 Zgrozą i wstydem się nie zarumieni?
 Czyż zawsze, w płaszcz swój owinięta blady,
 Kołysać będziesz drzemiące plejady,
 Jako ta matka z rozpacz szalona,
 Co trupa dziecka przytula do łona

*

I zasłuchana w śmierci martwą ciszę,
Śpiewa mu piosnki i do snu kołysze?

* * *

Gród zwyciężony, w ogniów swych koronie,
Płomiennych węzów opasany pękiem,
Jak król boleści, w strasliwej purpurze,
Zasiadł na zgłiszczów i rumowisk tronie
I wsparł się, chwiejąc, na zgwałconym murze,
Na wyłamanych bramach i okopach,
I był, jak gdyby skamieniałym jękiem,
Jakby krwi plamą rzuconą w przestrzenie,
Która tron Boga plami w straszne cienie...
Morze, rozdarłszy pian swych szatę białą,
Jak niewolnica, tuż przy jego stopach,
Niepocieszone w żalu swoim, łkało,
Wzniesioną piersią tłukąc się o brzegi. —

* * *

Komu ty, nocy przerażeń i klęski,
Tulisz dziś oczy w sen cichy, w sen błogi?...
Zwyciężonemu u bezsennych powiek
Migają widma rozpaczy i trwogi;
A tam, gdzie orzeł ulata zwycięzki,
Nad rzymskich legji błyszczące szeregi,
Gwar pieśni, śmiechów, okrzyków wybucha,
Jak oddalona burza jakaś głucha...

Tak idzie, walcząc, przez życie swe człowiek:
Tryumf i rozpacz, szczęście i tęsknota
Jednakim wichrem duszą jego miota.
W rozkwicie złudzeń, w nadziei pogrzebie,
Nigdy nie zdoła posiadać sam siebie;
I chyba wtedy ukoji się w duchu,
Gdy cichy spocznie bez głosu, bez ruchu,
Jako szermierze, co szaniec tych strzegą
Śmiertelną strażą aż do dnia sądnego.

* * *

W białym namiocie, co skrzydła swe dumne
Rozwinał z dala od gwaru i szumu,
Patrzac na zgłiszczów dymiącą kolumnę,
Stał Scypion, wzniosły samotnik wśród tłumu.
Błaski tryumfu na czole mu gasną,
W źrenicy iskry ostatnie się palą,
Krew w pulsach bije chłodniejszą już falą,
Piers uciszona spoczynku pożąda,
Głębszem, pełniejszym unosząc się tchnieniem...
Wódz młody czuwa i orlem spojrzeniem
W noc tę, od ogniów jak dzień krwawy jasną,
Z szlachetnym smutkiem zwycięzcy pogląda.

* * *

On stoczył dzisiaj dwie walki zacięte:
Jedną z tym ludem, zrozpaczonym klęską,

Którego łuki zdały się napięte
 Wściekłością piersi, broniącej swobody, —
 Którego strzały, partę przez cięciwę,
 Od bicia serca łuczników drgająca,
 W legjony Romy leciały jak żywe,
 A każda była żmiją kasającą,
 Przekleństwem, pomstą, rozpaczą, zwątpieniem
 I stracającym w noc wieczną ramieniem...
 A drugą walkę bohater ten młody
 Stoczył sam z sobą... z własną piersią mężką...
 Walkę okropną, straszną, choć milczącą.

* * *

Afrykańskiego słońca płowe żary,
 Co leją złoto roztopione w żyły
 I w mózgu dziwne wywołują mary,
 I w piersiach budzą żądzę głuche siły, —
 Żary te straszne, namiętne, złowieszcze,
 Co, odrzuciwszy obłoków zasłonę,
 Drżą na lazurach nagie i spłonione,
 Ssać oddech ziemi i wilgoć jej łona
 W dziewiczej piersi młodego Scypiona
 Zbudziły dziwne płomienie i dreszcze.
 Jakaś potęga zawładła nim nowa,
 Istotę jego łamiąca we dwoje...
 Jakiś bóg, dotąd nieczczony, nieznany,
 Rył mu na sercu nagiem prawo swoje

I objawiał się w oddalonym gromie,
 I niósł ze sobą wichrów niepokoje.
 A tak potężną była jego mowa,
 Że Scypjon, w ciszę nocy zasłuchany,
 Przystawał myśleć o wojnie, o Romie,
 O Kartagenie, co, jak męczennica,
 Na wielkim stosie dziejów się paliła,
 I drżał, i szeptał przerywane słowa,
 I tak się płonił, jak młoda dziewica,
 Co po raz pierwszy: „kocham“ wymówiła.

V.

Czy znasz tę chwilę srebrzystą, różową,
 Gdy wschód unosi zasłonę nad głową
 Spiać jutrenki i zwolna odchyła
 Obłoczki lekkie, jak skrzydła motyla?
 Gdy ranek, w białe zasłony spowity,
 Dyadem rosy kładzie w ptasząt gwarze?
 Gdy ziemia ze, snu ockniona, marząca,
 Tęskne ramiona wyciąga w błękity,
 Z mgły wznosząc srebrne, dymiące ołtarze,
 Na cześć wielkiego bóstwa życia, — słońca?...
 I czy znasz chwilę, gdy dziwna tęsknica,
 Której nikt nazwać, ni ująć nie zdoła,

Łunami świtu wybija na lica
I upojeniem opromienia czoła?...

* * *

Czy znasz ty chwilę tę, przed burzą samą,
Gdy wicher gońcem widnokrąg oblata,
A słońce z twarzą bladą i zagasła,
Zda się upiorem zjawionym z za świata?...
Gdy grom daleki potężnych salw hasło
Przesyła drżącej w wnętrznościach swych ziemi?...
Gdy cień zapada płachtami grubemi,
A pierwsze krople dżdżu perłową gamą
Rozsypują się kragłe, ociężałe
I od błyskawic łuny złote całe?...
I czy znasz chwilę ucisku i trwogi,
Oczekiwania na zgrozę nieznana,
Gdy duszę, węzem płomiennym smaganą.
Obłęd porywa w wir ciemny, złowrogi?...

* * *

Taki świt cichy marzeń i tęsknoty
I taka burza w zawiązku swym wrząca,
Jako dwie czary, z których jedna mieści
Napój słodczy i upojeń złoty,
A druga, pianą rubinów kipiąca,
Pełna rozkoszy szalów i boleści,

W noc tę zmieszane, jak dwie wrogie siły,
Usta Scypjona żarzewiem paliły.

* * *

Dumał, i dziwne bezsenne marzenia
Przykuwały go do namiotu wnętrza...
A noc ta kłeski, łun pełna, bez cienia,
Wydała mu się od ognia gorętsza,
Od lwa potężniej za piersi szarpiąca
I taka tęskna, i taka bez końca,
Że padł na łożo zmęczony, omdlały
I czuł, jak w mroku oczy mu pałały.

* * *

Wtem gwar się rozległ u wnijścia, i nagle
Purpurowego namiotu zasłona
Wzdeła się, niby wichrem parte żagle...
A legionisty żelazne ramiona
Wepchnęły w ognia schwyconą Kartagi
Branke, co jako srebrna nocy strzała,
Którą z błękitów księżyc ciska ziemi,
Błysnęła w cieniach, rąbkami białemi
Kryjąc panieńskie wdzięki swego ciała,
Tak, jak się w listki kryje pączek nagi.

* * *

— „Boski Scypionie“ — rzekł pretor — „w zdobyczy
Nie wzięłeś części ni w srebrze, ni w złocie;
Niechże ten kwiatek ponętny, dziewiczy,
Rozpędza nudy w samotnym namiocie...
Piękna! patrz tylko...“ — i dziki atleta
Z ramion jej szatę pochwycił przemocą...
— Scypion, jak gdyby w tem białem zjawieniu
Poznał niejasnych marzeń swych osnowę
I mógł je wreszcie nazwać po imieniu,
Rzekł głosem cichym, zdumionym: „kobieta!“
I jakby wstydząc się przed ciemną nocą
Wzruszenia swego, spłonął... i w milczeniu
Sklonił swą dumną, bohaterską głowę,
Hołdem zeznając przed sobą i światem,
Że piękność także bywa majestatem. —

* * *

Pretor znikł w zmierzchu, który jak wąż czarny
Opasał namiot mrocznemi kregami,
Błyskając ognisk złocistą źrenicą...
A gwar obozu burzliwy, niekarny,
Był tłem jaskrawem dla ciszy, co blada
Z palcem na ustach milczących zapada
Ponad namiotu drgające szkarłaty,
Gdzie wódz młodzieńczy z porwaną dziewczą

W tej nocy zgrozy zostali się sami.
— Siła i piękność: dwa berła, dwa światy. —

* * *

Scypion głębokiem, gorącym spojrzeniem
Objął tę białą, co nagle spłoniona
Młodej krwi swojej królewską purpurą,
Na piersi nagiej złożyła ramiona
I osłoniła się wstydem, niby chmurą,
Walcząc z tajemnem, nieznanem wzruszeniem.
Scypion drgnął lekko; zgryzł wargi młodzieńcze,
Wyciągnął dłonie przed siebie, jak we śnie...
Wzrok mu zasnuły diamentowe tęczę
I nagle w miljon iskier się rozprysły...
I poczuł dziwne w żyłach swoich szumy
I świat lecący przez otchłań błękitną
I zastrzone, jako strzały, zmysły...
Nieznane wonie, mar dziwacznych tłumy.
Kwiaty ogniste co nigdy nie kwitną...
I upajał się z wrzącego kielicha,
Którego nigdy nie dotknął ustami...
Było mu czegoś błogo i boleśnie...
I stał tak niemy, chwiejący się, blady,
A noc, zgasiwszy gwiazd swoich miriady,
Tuliła zdradnie czarnemi skrzydłami

Dwa te walczące duchy, szepcząc z cicha:
 ...„Jesteście sami!... wy jesteście sami!...”

* * *

I w tym samotnym dotychczas namiocie
 Stał duch straszny, w płomieni koronie;
 I podniósł czoło pałające żarem,
 Cały w błyskawic i piorunów złocie...
 I rozprzestrzenił po nad ziemią dłonie,
 A ziemia znikła jak bańka zdmuchnięta...
 I w niebo wionął skrzydeł swych sztandarem,
 A niebo znikło jak karta zwinięta...
 I dźwignął swoje ciało gorejące
 Stłumionym ogniem, jak zgaszone słońce...
 I zapełnił niem czas i przestrzeń całą,
 I nic prócz niego nie było na świecie...
 A w tej nicości ich dwoje zostało...
 I zasłonił im mdlejące źrenice,
 Cały się w nagłe mieniając błyskawice
 W serca drżącego przyspieszone tętno;
 W jakąś pieszczotę niepomną, namiętą,
 W woń konającą na zdeptanym kwiecie...

* * *

Ach! czemu w piersi, co ma być świątynią,
 Żądze budują sobie tron ponury

I zasiadają go burzliwą zgrają?...
 Czemu krwi fale, które wzruszać mają
 Najczystszych uczuć struny kryształowe,
 Wznosząc w niej dzikie i namiętne chóry,
 Wyziewem burzy oczadzają głowę
 I z wolnych duchów jeńców swoich czynią?
 Czemu pragnienia powstają z przemocą
 Nieubłaganą, tyrańską, straszliwą?...
 Czemu się serca rwą w piersiach, trzepocą
 I chcąc uleciec w błękity, spadają,
 Jak ptak zraniony z skrzydły złamanymi?...
 Jaki duch ciemny z tych źródeł wyschniętych,
 Z gwiazd spadłych, z paków stoczonych w rozkwicie,
 Z mętnych porywów, z nędz jaskrawych ziemi,
 Z chwil upojenia rozkosznych, przeklętych,
 Z płomieni, które wypalają życie,
 Zbiera w wieczności gorejące żniwo?...

* * *

Nagle w namiocie zjawił się duch drugi,
 A z nim ocknęły się poranne świty,
 I zaszumiały pieśnią srebrne strugi,
 I z cieniów blade wyjrzały błękity;
 Senne marzenia powiały nad głową
 Ziemi swą szatą mglistą i tęczową;
 Ognie przygasły, zastygły wulkany,
 Z cichym szelestem opadało morze,

Jeleń u źródeł gasił swe pragnienie;
 Dziecię gdzieś przez sen wyszeptało: „Boże!”
 Ptaszki zbudziły drzewa swym szczebiotem;
 Od chłodu rosy drżała róża polna;
 Przejrzysta zorza purpurą i złotem
 Wschód malowała na przybycie słońca...
 I ucisk serca, długo utrzymywany,
 W ciche, ożywcze uleciał westchnienie...
 Ocknął się Scypjon; wyciągnął ramiona
 Do pięknej branki, co stała milcząca,
 Jutrzennym świtem cała zróżowiona,
 I bladnąc, szepnął z cicha: „jesteś wolna!” —
 A wzięwszy tarczę bohaterską swoją,
 Osłonił ciało spłonionej dziewicy,
 Jakby czci własnej djamentową zbroją,
 I rzekł: „w pokoju idź do swego grodu
 I powiedz mężom swojego narodu,
 Że Scypjon uczcił wolność w niewolnicy“. —

* * *

Wyszła w milczeniu. Straże obozowe,
 Widząc ją wodza okrytą puklerzem,
 Zdumione nisko pochylały głowę.
 Tak szła, chłód nocy pijąc tchnieniem świeżem,
 Aż tam, gdzie na pół przepalona brama,
 Przed jej stopami rozpadła się sama,

I gdzie wśród dymów, co mgłami sinemi
 Ostatnie ognia przygaszały słupy,
 Z wschodzącym słońcem weszła po nad trupy,
 Jak poseł ciszy i pokoju biały.

* * *

Ojciec jej, stary Celtiber zsiwiał,
 Widząc ją w całej dziewiczej ozdobie
 Wolną i czystą wróconą znów sobie,
 Kazał płatnerzom kuć ciężkimi młoty
 Srebrzystą bryłę, aż z białego łoża
 Wyszła przedziwnej siły i roboty
 Tarcza, jak pełnia jasnego księżyca...
 A na niej, w pośród godeł tajemniczych,
 Kwietnych opasek i ozdób złotniczych,
 Rozkazał wyryć to słowo: „dziewica“.
 I tarczę ową słał w obóz Scypjona.

VI.

Gdy orły rzymskie, latając po świetle
 Gubiły pióra z swych skrzydeł potężnych,
 A modry Rodan unosił na grzbiecie
 Tysiące statków i mężów orężnych;

W nagłej przeprawie przez drogę tę szklaną,
 Spojrzeniem wodza, jak burza, smaganą,
 Tam, kędy fale, jak dzikie brytany,
 W srebrnych obrożach uwięzione, warczą,
 W śmiertelny uścisk przepaści schwyty
 Statek zatonał z tą promienną tarczą.

* * *

I odkąd chłodne błękitne otebłanie
 Zwały się nad nią, jak gwiazda stracona,
 Spała snem cichym w szumiącym Rodanie.
 A nad nią burze ogniste latały,
 Maczając końce czarnych skrzydeł w wodzie
 I wyciągając błyskawic ramiona...
 A srebrne piany korowód swój biały
 Wiodły, jak sylfy, w noc letnią tańczące,
 Kołysząc lekkim ruchem senne łodzie,
 Zanim poranne rozbudzi je słońce.
 I długi szereg burzliwych stuleci
 Przemknął, jak fala, co u brzegu kona...
 I tak leżała tarcza ta Scypjona,
 Aż ją rybacze wyciągnęły sieci.

* * *

Dziś do wielkiego przeniesiona grodu,¹⁾
 W świetnem muzeum, jak klejnot, złożona,

¹⁾ Tarcza ta, wydobyta z Rodanu 1665 r., znajduje się
 w gabinecie starożytności w Paryżu.

Zda się być strofą starego rapsodu,
 Albo wyrwaną z starej księgi kartą,
 Której świat nowy nie rozumie prawie,
 Tak w treści swojej jest dla nas zatartą...
 A którą pra-prawnucze pokolenie
 Mierzy i waży i bada uczenie,
 Ukrytej myśli, co śpi tam zamglona,
 Przez chłodne szkiełka szukając ciekawie.

* * *

Lecz w wieku, w którym płomienne pochodnie
 Żądź przepalają wskrós piersi ludzkości
 I w swym ognistym, niszczącym pochodzie,
 Krwawym pożarem podsycają zbrodnie;
 Gdy, jak dymiąca żagiew, przyłożona
 Do podstaw gmachu, nurtują w narodzie,
 Łamiąc energją szermierzy przyszłości,
 Miljonem żadeł wypuszczonych skrycie
 Obezwładniając myśli wzniosłe ruchy;
 Kiedy użyciem jest tylko to życie:
 Czyż chociaż pieśnią przypomnieć nie warto,
 Jak mąż zwycięża i jak walczą duchy?

Jaskółka.

Z za morza powraca!... ach leci tu, leci
Jaskółka pod strzechę, pod naszą...
A cichoż ty bosa, gromadko! sza, dzieci!
Bo krzyki ptaszynę wystraszą...
Ach spiesz się dziewczyno, nie splataj warkoczy,
Do strugi, za wioskę bież strzałą;
Nim ptaszka w niej skrzydła czarniawe umoczy,
Ty w wodzie twarzyczkę myj białą.
Jeżeli się uda ten wyścig z jaskółką
I staniesz ty pierwsza u wody,
To słońce przez lato, całując twe czołko,
Smagłością nie przyćmi urody.
Hej, chłopcze tęskniący! śledź bystrem spojrzeniem
Gdzie ptaszka gniazdeczko uściele,

Tam w późne dosiewki slij swata z pierścieniem,
 A w zapust wyprawiaj wesele!
 Ty, młoda gospośiu, wybiegnij z wrzecionem,
 Nim w locie się zwinie jaskółka,
 Cieniuchną niteczkę pasemkiem srebrzonem
 Nawijaj, nawijaj u kółka;
 A kiedy jesienią zaświecisz łączywo
 I siedziesz prząść lniane włókienka,
 To nitka, jak ptaszek, okręci się żywo,
 I równa, i mocna, i cienka.
 Dziadusiu, babusiu, siadajcie u proga
 Pod przyzbą, na ławie dębowej,
 Niech dla głów siwiutkich uprosi u Boga
 Jaskółka ten roczek, ten nowy!
 Ach leci!... ach leci! powraca z za morza
 Do naszej wioskowej zagrody,
 I czarnem skrzydełkiem pozdrawia rozdroża
 I łąki, i pola, i wody.

* * *

— „Witajcie! tak do was tęskniłam z oddali!
 Dziś wracam z piosenką radosną...
 Cóż słyszeć nowego? czy zdrowi? czy cali?
 Czy żyją staruszki, jak jabłoni zsiwiali?
 A Kasie, Maciusie czy rosną?
 Ach! cóż to?... te same, jak widzę, kłopoty

I bieda jak przed laty!
 Na drogach kałuże, wyboje, wywroty,
 Podwórka nie strzegą ni drzewa, ni płoty
 I dach się zapada garbaty.
 Przez strzechę zmurszałą deszcz w chatę przecieka
 A ściany się krzywią i paczą,
 Jak gdyby nie były siedzibą człowieka,
 Co ziemię tę potem uprawia od wieka,
 Lecz nędzną gospodą tułaczą.
 Na twarzach zniekanie i niechęć, i troski,
 Na ustach piosenka niedoli,
 A dzieci wzrastają, jak płonne te kłoski,
 Na dzikim ugorze zbujałe, wśród wioski,
 Bez myśli, bez czynu, bez woli.
 Stęskniona leciałam przez morza, z nadzieją
 Wiosennych błękitów i słońca;
 Lecz tutaj błękity nad wioską ciemnieją
 I wichry lodowe czatują z zawieją,
 Tu zima i zima bez końca!
 Och! gdybym ja mogła rozegrzać was pieśnią,
 Jak słońko tę rzeczkę pod lodem,
 Myśl strząśła-by z siebie, co rdza jest i pleśnią,
 Duch zrzucił-by więzy, co lot jego cieśnią,
 I lud-by się zbudził narodem.“

* * *

— „O spojrzij! o spojrzij! to pierwsza jaskółka
 Pod gzymsem w skrzydełka trzepoce...
 I w okna zagłada, i zwija się w kółka,
 I o coś się pyta, szczebioce...
 Toż wiosna już! wiosna!... za tydzień, za drugi
 Mieć będę z fijołków bukiety...
 Czy w polu już sieją?... czy orzą już pługi?“
 — „Najdroższa, czytamy gazety“.

* * *

— „O Panie! o pani! słoneczko kwietniowe
 Przyświeca tak jasno, tak ładnie...
 Czyż żaden promyczek na główki, na płowe,
 Wioskowych pacholąt nie padnie!
 Czyż mi tak co wiosna trzepotać napróżno
 U okien skrzydłami czarnemi?
 I kiedyż wybiegną ptaszynę podróżną
 Wieściami powitać dobrymi?
 I kiedyż gniazdeczko pisklętom uwinę
 Pod strzechą szczęśliwą, wieśniaczą?
 I kiedyż tu światłem ubogą dziecinę,
 Jak chrzymem, na życie naznaczą?“ —

* * *

— „Ach! widzisz, nie mogę dziś słuchać z uwagą;
 Myśl moja ucieka z jaskółką

eci nad wioskę odartą i naga...
 Mój drogi! zajmijmy się szkółką!
 Niech biedne te dzieci nie rosną tak dziko,
 Wszak kraj do ich czynów ma prawa...
 — „Hm! chłopu nauka, co najmniej ryzyko...
 Czytajmy, jeżeliś łaskawa!“ —

* * *

— „O panie! o pani! za morzem, za sinem,
 Plon myśli runieje, dojrzewa...
 I słowo tam pada nie dźwiękiem, lecz czynem,
 I wzorem, nie radą zagrzewa.
 Ach, rzućcie wy w wiosce ziarenka oświaty,
 Dostatków maleńkie okruchy;
 A wzniosą się czoła ku słońcu, jak kwiaty,
 I zbudzą się myśli i duchy!“ —

* * *

— „Najdroższy! chcę wiedzieć, dla czego z pozoru
 Praw równość głosicie człowieka,
 A przestrzeń odwieczna od chaty do dworu
 Tak zawsze boleśnie daleka?...
 Dla czego przed dzieckiem, panienką, paniczem,
 Zsiwiałą swą głowę odkrywa
 Staruszek, piast wiejski, z dostojnem obliczem?
 Kto bratnie rozerwał ogniwa?

Kto kraj śmiał zubożyć o siłę bez czynu?
 O myśl tę zmaczoną, niejasną?
 Czyż nie tem, co marnie przepada wśród gminu,
 Wymierzać nam niemoc swą własną?
 Posłuchaj mnie, drogi! czyż tyle już trudu,
 Czyż tyle mokołu potrzeba,
 By światło nauki rozdmuchać dla ludu,
 Łaknącym zdrowego dać chleba?"
 — „Co?... może ja pierwszy mam zbijać wiatraki
 Z pocziwym Kiszotem w zawody?
 I brudnych pastuszków zmieniawszy na żaki,
 Sam gęsi zaganiać od szkody?
 A może wziąć książkę i, siadłszy na trawie,
 Nauczać z niej ludek, jak klecha?...
 Ztąd widzę sąsiadów, jak patrzą ciekawie,
 Jak każdy się skrycie uśmiecha...
 Być może, iż trudy się takie opłaca,
 Gdzie wille, gdzie fermy, szalety;
 Lecz chłopu naszemu? jak, po co i na co?...
 Daj pokój!... czytamy gazety?" —

* * *

— O słońko! świeć jaśniej, bo ziemia zakrzepła
 Rozbudzić się ze snu nie może...
 O więcej daj światła! i więcej daj ciepła!
 I rosy ożywczej, o Boże!...

Z dziejów pieśni.

I.

Urodzona z uśmiechów i łez młodej matki,
 Drżąc, z serca jej wschodzisz nad kołyską oto,
 Jak z serca ziemi wschodzą nieposiane kwiatki,
 Piosnko, pieszczoto!
 Lecisz na białych skrzydłach, jak anioły stróże...
 Imię twoje „najmilsza“, a dźwięk twój opada
 Tarczą, pomiędzy dziecię a życiową burzę,
 Co' dysze błada.

* * *

Młodość z piersi cię swojej ciska, jako strzały,
 Tobie na imię „sława“, „miłość“, „ideały“.
 Rozpalasz gromy w duchach i w głębie zadumy
 Unosisz tłumy.

Tys orzeł, co się gnieździ na myśli wyżynie...
 Tys słowo, co się ciałem staje w wielkim czynie...
 Wstrząsaszą purpurą królów i nędzy siermięgą,
 Pieśni, potęgo!

* * *

Ty wreszcie cicha staj-sz nad świeżą mogiłą,
 Pochwycona, jak ptaszę, praw wieczystych siłą,
 Łez pełna, do Hiobowych żalów stroisz lirę,
 Szepcząc „dies irae!“...
 I w odmian wszechistnienia uniesiona wicherze,
 Tając, jako śnieg, w tony cichsze coraz, cichsze,
 Aż ujdiesz, jako strumień, w oceanu wody,
 W pieśnię przyrody!

II.

Widziałem pieśni, jak wiosenne kwiaty,
 Wonne i lekkie, jak motyl skrzydlaty,
 Jasne, jak błękit majowego nieba...
 Spiewały miłość, jak trubadur blady,
 I dziwne, straszne, prawyły ballady,
 Że aż się żegnać z przerażenia trzeba...
 A gdy Czas przyszedł i z ranną je rosą,
 Jak nikły potraw na łąkach, ściał kosa,
 Rozwiały zapach, lecz nie dały chleba.

* * *

Widziałam pieśni, co, jak płaczki białe,
 Stały na grobach, zamknawszy ich chwałę

W pierś przezroczystą, łamiąc z żalu ręce...
 A gdzie wiek zgasły rozwał swoje szczątki,
 Jak Ruth schylone, zgarniały pamiątki
 Kłosów, mijanych przez spieszące żenice...
 A gdy Czas przyszedł i otwierał groby,
 Rzekł: „jakże wiele próżnej tu żałoby!
 I jakże zeschłe są te wasze wieńce!“

* * *

Widziałam pieśni, co, jak niewolnice,
 Szły za rydwanem wieku, strojąc lice
 W uśmiech, ponętny dla oka Cezara...
 Lecące chwile tchem swym je żywiły,
 Z bieżących źródeł czerpały swe siły,
 I nieraz pustą bywała ich czara...
 A gdy Czas przyszedł i rozdzielał sławę,
 Rzekł: „wy, zakłete w przydrożną kurzawę,
 Po pierwszej burzy zniknijcie, jak mara.“

* * *

Widziałam pieśni, co, jak cherub z mieczem,
 Stały w ognjach przed sercem człowieczem,
 Pałac mu piersi zawiści pożarem...
 Jak szatę dzianą, tak one świat boży
 Dzieliły, ostrzem przekleństwa i noży,
 Czarną nienawiść mając swym sztandarem...

A gdy Czas przyszedł i uczynił sądy,
 Z pomiędzy ludzi pieśni te, jak trądy,
 Precz wyrzucono, wraz z bezprawiem starem.

* * *

Widziałam pieśni, co z licem spłoniemem
 Stały ciche nad własnym zagonem,
 Wiosce swej nucąc, jak szare ptaszyny...
 Zwiniętych skrzydeł nie ważąc do lotu,
 Zagrody swojej trzymały się płotu,
 Czarnego chleba jedząc okruszyny...
 A gdy Czas przyszedł, by wymierzyć płacę,
 One za cichą drobną celów pracę
 Wzięły — fujarkę wioskową z wierzby.

* * *

Widziałam pieśni, co, jak obłok biały,
 W dzień przed ludzkością idącą leciały,
 A w nocy słupem gorzały płomieni;
 Co, wzięwszy w piersi wszechwieków tęsknotę,
 Struny z niej sobie uczyniły złote
 I szły, miłością walcząc, w państwo cieni...
 A gdy Czas przyszedł, rzekł: „błogosławiona
 Pieśń, co zasiewa przyszłości nasiona!
 Wy, co słuchacie jej, błogosławieni!“...

Romans wiosenny.

I.

Było to w porze tej, najmłodszej w roku,
Kiedy się strumień, z lodowisk sprawiony,
Zabiera hucznie do pierwszego skoku
Przez kamyk, ręką chłopięcia rzucony;
Kiedy za chwilę, za małą chwilę,
Z swych powijaków ruszą się motyle,
I tylko patrzeć, jak w ciepła pieszczocie
Otworzą oczy zbudzone stokrocie.
Las ciemny we mgłach jeszcze marzy, drzemie,
Ale za słońcem raniejsza młódź drzewna
Obraca czoła, na poły niepewna,
Czy to już pora rozzielenić ziemię?

I pierwsza, w ciepłe otulona puchy,
Wierzba, wrażliwa na świeże podmuchy,
Gałązki swoje stroi w szaty letnie,
Ojcom na palmy, a dziatwie na fletnie.

II.

W małym dworku, zgubionym w zieleni
Drzew, z których każde czołem przerastało
Dach niski, kryty słomą poczerniałą,
Na progu wiosny i zimowych cieni,
Jam ją zobaczył; a pierwsza ptaszyna,
Lecąca w niebo, podsłuchiwała dziwem,
Że serce moje stało się lęklivem,
Że czegoś w gaju śmiała się olszyna,
Że się fijołki rozwiły dziś łzawie,
Że słońce weszło odmiennie jaskrawe. . .
Że ona miała oczy tak przejrzyste,
Jak niezabudka, kiedy na nią padnie
Rosa; że śledzę, co tam leży na dnie,
I myśl zgubiłem. . . plotki oczywiście!

III.

Ona nie była piękną, salonową;
Była kobietą z sercem i z wadami.
Może zanadto znała się z kwiatami,
Z czarną jaskółką i żabką majową;
Może za często biegała po łące,
Zrywając dzwonki liljowe i drżące;
Może za wiele róż miała w ogrodzie,
Za rano słońce witała o wschodzie;
Może się nadto w księżycu kochała.
Patrzac mu w oczy, promienna i biała.
O! miała wady! była zmienna, płocha
I niecierpliwa. To smuci się, szłocha
Nad czemś, co z wiatrem uleciało puchem;
To znów dziecinny i swawolny ruchem
Z czoła odrzuca rozsypane włosy,
Ociera oczy... patrzysz... a za chwilę,
Zda ci się, skrzydła dostała motyle
I leci róże pootrzasać z rosy.
Waszych zwyczajów, konwenansów zbroja
Nigdy nie strzegła jej piersi śnieżystych;
Nie była z waszych kobiet zimnych, mglistych,
Lecz taka wdzięczna, och! i taka moja!

IV.

Kiedy mnie ciągnie za sobą swawolna
 Przez krzaki jeżyn, leszczyny i tarnie;
 Kiedy się ze mną ubiega figlarnie
 Tam, gdzie ma gniazdko jakaś pliszka polna;
 Kiedy napiera się dojrzałej wiszni,
 Gdy jeszcze kwieciami cały sad się pyszni;
 Gdy ręce z żalem załamuje, pusta,
 Że się zielona żabka nie odzywa,
 Że poschną wszystkie w ogrodzie warzywa:
 Tobym ją chwycił, jak dziewczynkę małą,
 Uniósł od ziemi i, objawszy całą
 Drobnią jej postać, ucałował w usta.
 Lecz gdy pod niebem błękitnem, gwiaździstem,
 Chodzimy razem wśród szeptów wieczora;
 Gdy ona cicha, do rozmów nieskora,
 Tłómaczy myśl swą spojrzeniem przejrzystem;
 Gdy w moich dłoniach trzyma rączkę małą
 Tak beznamiętnie, jakby jej to ciało
 Nic nie ciążyło ziemią i zmysłami:
 To chciałbym zaraz, na klęczkach, ustami
 Przylgnąć do stóp jej i całować nóżki
 Tej zamysłonej, tej tęsknej, tej duszki!

V.

Pomiedzy tłumem obojętnym, sami
 Doszliśmy prędko do czarownej chwili,
 Kiedy się dwoje rozmawia oczami,
 Chociaż się żadne z nich nigdy nie sili
 Na tę rozmowę wymownej żrenicy.
 Urok zakazu, urok tajemnicy
 Ciągnął mnie, jakby czarodziejska siła,
 Do tej przepaści, która nas dzieliła...
 A tu, jak na toż, jaskółka wesoła
 Miga skrzydłami i zatacza koła,
 Lepiąc gniazdeczko tuż pod samą ścianą...
 Ona się wspięła na paluszków końce
 I zasłoniła się rączką różaną,
 Bo właśnie przyszło całować ją słońce,...
 A mnie się jakoś zrobiło markotno,
 Że tak już wszystko z pieśczętą stokrotną
 Ciśnie się do niej... ten promień słoneczny
 Tak po twarzyczce ją łaskocze mlecznej,
 Jakby to żywy był kochanek złoty.
 Liliowe dzwonki tuliły się w sploty;
 Jej nagich ramion dotyka sukienka,
 Biała, jak one, przejrzysta i cienka.

* * *

*

Coś się dziwnego stało... ja sam nie wiem...
 Czy słońce z góry sypnęło zarzewiem,
 Czy się gdzieś pierwsza rozwinęła róża,
 Czy słowik w morzu harmonji się nurza,
 Czy w głos skrzydełkiem strzyże konik polny...
 Uczułem żar na ustach, mimowolny
 Wydałem okrzyk, jakby duch mój własny
 Spieszył ją ostrzedz, że ma wzrok zbyt jasny,
 Że się z rękawka wysunęła ręka,
 Że kwiat ją zdradza i że ta sukienka
 Pozwala słońcu całować jej ciało...
 Spojrzała na mnie i snadź mnie wydało
 Moje zmieszanie, bo spuściła oczy,
 Tuląc do siebie dwa sploty warkoczy.

VI.

Nie wiem, czy była od początku ziemi
 Na całym świecie druga taka wiosna,
 Kwiecista, wonna, tęskna i miłosna,
 Jak owa nasza! Rojami barwnymi
 Co ranek nowe tryskały motylki,
 Świecąc, jak drogie brylantowe szpilki,

Na piersiach róży, na jaśminów czole.
 Co wieczór rzeczka, uciekając w pole,
 Garściami srebro księżycowi kradła
 I w swoje szklane zakręty je kładła,
 Migocąc zdala, jak pas srebrem tkany...
 Słowik był jakoś dziwnie rozkochany,
 Żarem syczące, płomienne łał pienia...
 Drzewne korony plotły się w sklepienia
 Świątyń uroku, pałaców rozkoszy...

* * *

W takim ustroniu, pewna, że nie spłoszy
 Lekkich widziadeł rój muszek brzęczący,
 Spoczęła senna, a powiew gorący
 Malował róże na jej białej twarzy...
 Szedłem podsłuchać, o czym ona marzy,
 Jakim się pierś jej porusza oddechem,
 Z czym się przebudzi, — ze łzą, czy z uśmiechem?
 Ale musliny kryły ją zazdrośnie
 Przed strzałką słońca, czatującą skośnie
 Po za kratami liści i gałązek...
 Włos, rozpleciony z jedwabnych zawiązek,
 Po trawie spływał, niestrzeżony, wolny...
 Tuż obok stanął krasny maczek polny,
 I nie zaręczam, czy nie myślał sobie:
 „Ej, pocałuję!... ej, figła jej zrobię!”

A ona z takim zaufaniem spała
 Tuż przy psotniku... Krew we mnie zawrzała!
 Ten polny maczek zdał mi się zuchwalcem,
 Współzalnikiem, zdrajcą i padalcem.
 Z goryczą w sercu począłem rozważać
 Jej dziwną płochość. Mogłaż się narażać
 Na to sąsiedztwo? nie byłaż to zdrada?
 Ten maczek stoi, patrzy, choć nie gada,
 Ale mu wszystka krew do twarzy bije...
 A nuż naprawdę on czuje i żyje?
 Stoi tak blisko, dość mu schylić głowę
 I pocałować jój usta różowe,
 W śnie rozchylone, jak otwarty kwiatek...
 A tu drużyna cała traw zielonych
 Kiwa się, prawiąc, jakby grono swatek,
 Na to wesele zdrajcy zaproszonych!...
 Uczułem zazdrość i gniew tak kipiący,
 Żem zerwał szorstko, tuż nad głową śpiącój,
 Ten mak obrzydły i zdeptałem nogą...
 Ach! zrozumiałem, że zabijać mogą
 Ludzie rywalów, — jam kwiat zamordował.
 Lecz znowu żał mi było nieboraka;
 A może tylko to przygoda taka,
 Że on tam stanął? może nie całował
 Jej nigdy w usta? może nawet nie wie,
 Zkąd mu na twarzy wytrysło żarzewie,

Gdy na nią patrzył? może on niewinny?
 Może kochankiem jest ten kwiatek inny,
 Co jej za rąbkiem przy piersi usycha?...
 Tysiąc podejrzeń gniewnych mnie opadło;
 Coś mnie pociąga do niej, coś odpycha...
 A zazdrość, jakby szydercze widziadło,
 Śmieje się, gwiżdżąc w orzechy leszczyny.
 I wszystkie na myśl mi przypęzły winy
 Kobiety, Ewy, kochanki wężowej.

* * *

Przebyłem straszną godzinę! Surowy
 Na nią padł wyrok, bom obwiniał śpiącą,
 O tę woń kwiatów, w powietrzu mgłęjącą...
 O te tajemnic popisane znaki
 Na skrzydłach posłów miłości, motyli...
 O te rumieńce, któremi się maki
 Płoną, zdybane w schadzce, jak w téj chwili
 Miałem dowody jawne i niezbite;
 O te przygawki pszczołek wyrojonych,
 Co lecą w słońcu jasne, złotolite,
 Jak straż przyboczna, co hasło podaje;
 O wszystkie cienie, kryjące się w gaje;
 O wszystkie światła, co drgają w poranku
 Na brzóz zroszonych zapłakany wianku;
 O wszystkie wiosny uroki i dziwy...
 Byłem surowy, ale sprawiedliwy.

VII.

Przed skwarem leśnych szukaliśmy cieni,
 A las był pełen tajnych szumów, woni;
 Olcha wilgotna bujnie się zieleni,
 Jodła żywicę po przez korę roni,
 A biały powój, co tuż obok rośnie,
 Ręce na szyję rzuca jej miłośnię.
 Był zachód słońca; przez zielone ściany
 Widniał obłoczek, złotem malowany;
 Nad ziemią mgliła się wieczorna rosa;
 Trzodę zganiała pastereczka bosa;
 Do gniazd wracały turkawki i dzierzby;
 A mech drzemiący słuchał szeptów wierzby,
 Co, rozczesawszy włosy, jako długie,
 Schyliła głowę i patrzyła w strugę.

* * *

Byliśmy sami, bo dzień nas odbieżał,
 Bo między niebem a nami zmrok leżał,
 Bo las otoczył nas, niby komnata,
 Bo miłość dwoje oddziela od świata...
 Milcząc oboje, zasłuchani w ciszy
 Przedseńnej lasu, wracaliśmy sami.
 W tem słowo: „kocham“, padło między nami,
 Jak srebrna strzała... Kto je wyrzekł?... dziwy!
 Z razu myślałem, że to cud prawdziwy...

I dotąd nie wiem, czy róża, co dyszy
 Lubem wzruszeniem, to słowo wyrzekła?
 Czy ta konwalja, co się do snu kładła?
 Czy ta wiewiórka, co w gąszczu przepadła?
 Czy jasność dniowa, która nam uciekła?
 Czy ja sam może?... Kto zgadnie?... kto powie?...
 Wiosna ukradkiem figle nam płała...
 Swawolne echo śmiało się w parowie...
 Spojrzałem — płonie moja lilja biała...
 Może to ona?... Zapatrzony, blady,
 Otwarłem usta i zapytać chciałem...
 Wtem „kocham! kocham!“ jak pereł kaskady,
 Dźwięczy w powietrzu... Czy to ja wyznałem?
 Och! czy już taka wypadła nam ścieżka,
 Gdzie jakaś wróżka uśmiechniona mieszka
 I wieczorami wiosennemi, pusta,
 Z serca wyznania dobywa na usta?...
 Białe powoje pną się po drzewinie,
 W mchu utulone gniazdko ptaszka ginie...
 Jam ją pochwyił w ramiona i drżącą
 Uczył powtarzać: „kocham! kocham ciebie!“
 Wrażając każdą literkę płonąca
 W różowe usta ustami mojemu,
 Aż się zaśmiała promieniami złotem
 Najpierwsza gwiazda na wieczornem niebie.

* * *

Odtąd mieliśmy wspólne tajemnice
 Z wróżką, konwalia, powojem i różą,
 Z temi gwiazdkami, co aż oczy mrózą,
 Żeby ją lepiej zobaczyć, psotnice!...

VIII.

Tej cudnej wiosny cały świat był rajem
 I Aniołowie, nie ludzie, w nim żyli;
 Nie było zbrodni, śmierci, ani nędzy,
 Ani żądz niskich, ni łez, ni pieniędzy;
 Jak gdyby z dłoni Stwórcy w tejże chwili
 Wybiegła ziemia, uwieczniona majem,
 I, uśmiechnięta do róż i motyli,
 Uśmiechy szczęścia brała od nich wzajem...

* * *

A ludzie... całkiem o nas zapomnieli;
 Nic nas nie miesza i nic nas nie dzieli.
 Nad nami błękit rozwiesza zasłony,
 Za nami pierścień leszczyny zielony,
 Przed nami dyszą woniejące łąki,
 Wkoło nas kwiatów wpół rozwite pąki...

Cień błędny miga i ściślej. jednoczy
 Nasze ramiona i wymowne oczy.

IX.

Mybyśmy może nawet byli inni,
 Mniej rozmarzeni i dłużej niewinni,
 Gdyby zwyciężać przyszło tylko siebie;
 Ale już wszystko, na ziemi i niebie,
 Razem na naszą sprzysięgło się zgubę.
 I ta nas wiosna zdradziła urokiem...
 Zioła roniły takie wonie lubie,
 Księżyc tak wabił brylantowem okiem...
 Poemat szczęścia brzmi w powietrzu fali;
 Wieczór nam daje jakieś tajne hasła;
 Słowik piosenką swą łubiej się chwali
 I znosi puchy kwiatowe do gniazda...
 A tam, z błękitów spadająca gwiazda,
 Co może była strąconym aniołem,
 Leci tuż do nas i nad białem czołem,
 Jakby zła wróżba, upadła i zgasła.

X.

Nim dziewczę młode, idąc do kościoła,
 Ułame różę i przypnie u czoła,
 Chwilę nad krzakiem zadumane stoi,
 Aż się w sumieniu własnem uspokoi:
 Zerwie, nie zerwie? Na gałązce jeszcze
 Długo żyć może ta różyczka biała,
 Którą zielona wiosna wychowała;
 Lecz, raz zerwana, umrze. Tak ja pieszczę
 Trwożnie jej rączki, jak łabędzie puchy,
 I patrzę w łezki, co jej w oczach stoją,
 I mówię sobie: „My jesteśmy duchy...
 Ta moja, nigdy, och! nie będzie moja!“
 A do niej mówię: „Słuchaj, moja miła!
 Gdyby już miłość takim grzechem była,
 Czy myślisz, żeby twój stróż anioł biały
 Własną swą ręką, jak mgiełka przejrzystą,
 Ust mi nie zamknął, by nie całowały
 Tej, którą Niebu on ma oddać czystą?
 Ale to nie grzech! wszak kocha się w tobie
 Słowik z olszyny... wszak całujesz bratki...
 O! daj mi rączkę!... nic złego nie zrobię!...
 O! pozwól usta! patrzą tylko kwiatki, ..“

XI.

Aż wtem wieczorny powój się rozchyła
 I pokazuje śpiącego motyla...
 Czy tylko spał on? och! bardzo być może,
 Iż psotnik wybrał to błękitne łożę,
 Aby podsłuchać, co też mówi dwoje?...
 Poranek sprawdził nasze niepokoje:
 Ten zdrajca motyl po całym ogrodzie
 Rozniósł na skrzydłach tę naszą rozmowę!...
 Zarumieniony obłoczek na wschodzie
 Powiał ją dalej... stokrocie różowe
 Zbiegły się w kupkę gwarzyć o nowinie...
 Wietszyk pośpieszył poszepnąć ją trzcinie...
 A ztamtąd muszek rozbrzękło ją grono...
 Tak idąc, doszła aż do ludzi pono. —

XII.

Przyszły dni ciężkie, byliśmy zdradzeni!
 Skośne spojżenia, nakształt długich cieni,
 Padały na nas, zimne i kolące...
 Jam koił, tulił ptaszę moje drżące,

Ale sam w duszy pokoju nie miałem.
 Pełno się wokół ocknęło zawiści:
 Żółty tulipan uniósł się z łodygi
 I całem z gniewu zadygotał ciałem...
 Brzydka makówka, co nie miała liści,
 Sąsiadce plotkę prawila na migi...
 A cały ogród tak pełen był szumu,
 Żem już odchodził prawie od rozumu,
 Jak to uciszyć, jak to uspokoić?

* * *

Sny gorączkowe zaczęły mi roić
 Dziwne fantazje... to niby na łące
 Widziałem czarne węże pełzające,
 A ona była jaszczureczką małą...
 To znowu we śnie mi się wydawało,
 Że gdzieś, za światem, była chatka nizka;
 Obok cichego, jasnego ogniska,
 Dwoje chleb czarny jedliśmy z uśmiechem,
 A szczęście nasze przestało być grzechem...
 Aż wtem ją duchy złośliwe porwały
 I uniosły precz, daleko ode mnie!...
 Szedłem jej szukać, boleścią zmartwiał;,
 Szedłem jej szukać; ale nadaremnie
 Pytałem ludzi, obojętnych o nią...
 Mężczyźni milczą, kobiety się płonią...

A druh mój blizki, com go miał za brata,
 Rzekł mi: „Wybornie grasz rolę waryata.“

* * *

Roznamiętniony, zbolały i drżący,
 Budziłem ciszę nocną westchnieniami...
 Aż wtem uczułem jej oddech gorący
 Przy mojej twarzy, och! byliśmy sami!
 Przybiegła, lekka, jak senne widziadła,
 Dłoń na płonącej skroni mojej kładła,
 Pieściła włosy, oczy całowała,
 Tuląc się do mnie, różowa i biała;
 Z główką schyloną, jak ptaszę, co pije
 Rose, mówiła: „Och! jak mocno bije
 Dla mnie to serce! Gdy byłeś daleki,
 Tęskniłam!“ — „Moja! och! moja na wieki!
 Jak ty mnie dzisiaj uszczęśliwiasz, droga!“
 I zamykałem w zachwycie powieki,
 By znów sen taki uprosić u Boga.

XIII.

Czybyś ty wierzył, mój biały powoju,
 Że można z takich wyrwać się uścisków?
 Że można zmysły stracić z niepokoju
 I że oślepnąć można z nagłych błysków

Szczęścia i ślepo rzucić je na stronę?
 Czybyś ty wierzył, co kwiecica koronę
 Rzucasz na drzewo i zielone wieńce
 Tulisz do niego, gdy grom burzy bije,
 Że można rozpleść takie białe ręce,
 Co się miłośnicie wieszają na szyję,
 Że można uciec przed życia ozdobą,
 Przestać być dwojgiem, a być tylko sobą?!

XIV.

O ciche szumy! o szepty wieczora!
 Do was się zwraca zraniona i chora
 Dusza, pamiątek pełna i tęsknoty...
 Ukojcie wy mnie swojemi pieśniami!
 Niech będzie cisza i niechaj nad nami
 Zadrzgać srebrem błękitne namioty!...
 O mój słowiku, piej wtóry miłosne!
 Dajcie mi różę, co łono rozchyła
 Pierwszej pieszczocie białego motyla,
 Niechaj przypomnę ją, miłość i wiosnę!...

II.

I.

Fragment.

Skarżycie się na wiek, co ideały
Odziera z szat i waży je i mierzy...
Skarżycie się, że duch poezji biały
W śmiertelnym śnie z strzaskaną lutnią leży...
Skarżycie się, że niema śpiewać komu,
Że zagłuchł świat, do złotej biegnąc mety;
Że wśród burz i krwawych walk ogromu,
Bez echa drży znikoma pieśń poety.
Lecz gdzież jest pieśń, co czarów swych potęgą
Przykuwa słuch lecących w bój szermierzy,
Ołtarzem jest, świętością i przysięgą,
Przez którą duch, zwątpiwszy nawet, wierzy?
Lecz gdzież jest pieśń, z marmuru wyrzeźbiona,
Jak biały bóg, co nocy cień zwycięża?...
*

Gdzie jest ta pieśń, co błyszczy, jak korona
 Słonecznych zórz, na jasnem czole męża?...
 Lecz gdzież jest pieśń, co, jako młot olbrzyma,
 Z surowych skał wykuwa dzieło ducha?
 Gdzie jest ta pieśń, co berło prawdy trzyma,
 Pada, jak grom, a jako pożar bucha?
 Lecz gdzież jest pieśń, co czołem swem wybiega
 Do wyżyn tych, gdzie pnie się duch stęskniony?
 Gdzie pieśń, co skry w zmartwiałej krwi zażęga
 I hasłem jest, pod którym wrą miliony?
 Lecz gdzież jest pieśń, co w przyszłość wkracza
 [śmiało,

I ziarnem prawd zasiewa niwę dziką?...
 Gdzie jest ta pieśń, co duszę ma i ciało
 I wielkich słów ludzkości jest muzyką?...
 Ach! taką pieśń, lirnicy mało wierni,
 Zanućcie tu, w powszednim ziemi gwarze,
 Gdzie stoi tłum ostygłej, martwej czerni,
 I garstka tych, co strzegą jej ołtarze...
 Niech taka pieśń, jak orzeł, w górę wzleci,
 A trupy drgną. Zaprawdę, mówię wam,
 Wy znajdźcie ton, co tętnem jest stuleci,
 Ja milion serc wzruszonych pieśnią dam.

Echa majowe.

I.

Zaklinam ciebie, o ty ciemny lesie,
 Przez ciszę twoją!
 Zaklinam ciebie, niechaj mnie ukoją
 Twe szумы!
 Niechaj, jak dziecię rozplakane, senne
 I trwogą drżące,
 Niechaj, jak dziecię, serce bolejące
 Ucisze!...
 Tu, jak w świątyni tajnej przyrodzenia,
 Anioł przelata...
 Tu, jak w świątyni, dzieli mnie od świata
 Milczenie.

Gibkie kolumny tych dębów i sosen
 Pod niebo dążą;
 Gibkie kolumny łączą się i wiążą
 W arkady...
 Młoda leszczyna z poszeptem modlitwy
 Uchyła czoła;
 Młoda leszczyna uczy drobne zioła
 Pacierza...
 I widać ołtarz u góry błękitny
 Przez drżące liście;
 I widać ołtarz, gdzie płonie ogniście
 Dnia gwiazda...
 Ja spuszczam oczy... niech szczęśliwi toną
 W obliczu słońca;
 Ja spuszczam oczy, — źrenica mglejąca
 Łzy kryje...
 I piersią padam na wilgotną ziemię,
 Na mchy zielone,
 I piersią padam na zioła zroszone,
 I płaczę...
 Strudził mnie uśmiech przybrany dla ludzi;
 Tu chcę być sobą...
 Strudził mnie uśmiech, niezgodny z żałobą
 Mej duszy.

* * *

Bogdajem była, jak sosna w gęstwinie,
 Dziko bujała;
 Bogdajem była, jako brzoza biała,
 Samotną...
 Bogdajem była, jako głogi leśne,
 Przekwitła marnie...
 Bogdajem była, jako leśne tarnie,
 Uwiedła...
 O lesie ciemny! niech ja się rozwieję
 W mgły lekkie, sine...
 O lesie ciemny! niech ja tak przemienę,
 Jak echo...
 I niech nade mną perłami zarosi
 Deszczyk majowy...
 I niech nade mną słowiki z dąbrowy
 Zawiodą!...

II.

Senne róże, białe róże,
Dobrej nocy wam!
Lśni miesięczek na lazurze
Wskroś srebrzystych lam...
I zaścięła białe łoże
W modrych rąbkach fal,
Wodnym liljom na jeziorze,
Zapatrzonym w dal...

* * *

W lekkich mrokach światłość blada
Budzi smętny dzień...
W fantastyczną tkanę składa
Wiotkich trawek cień...

Drży członek uwiązane,
 Jak niewolna dłoń,
 Żeby plusnąć w wody szklane,
 W zwierciadlaną toń...

* * *

Duch, co tęskni, duch, co płacze,
 W tę majową noc,
 W ściany klatki swej kołacze,
 Więzów targa moc...
 Myśl o gwiazdy srebrne trąca,
 Lecąc w inny świat...
 Piers otwiera się milcząca,
 Jak wieczorny kwiat...

* * *

Szczęścia! szczęścia, choćby chwilę
 Przelotną, wśród burz,
 Co skrzydełka ma motyle,
 Znika z brzaskiem zórz...
 Choćby tyle, ile rosy
 W polnym kwiecie drży!
 Wiosno! ziemio! wy niebiosy,
 Szczęścia dajcie mi!...

* * *

Głos tęsknoty echo budzi
 W drżących listkach drzew...
 Cicho!... ciszej! niech snu ludzi
 Nie zakłóca śpiew...
 Mgła się wije po lazurze...
 Ja na fletni gram...
 Białe róże, senne róże,
 Dobrej nocy wam!

III.

Nie miejże urazy do mnie, słońko moje,
Że ja w blaskach twoich zachmurzona stoję!
Nie miejże urazy, słońko brylantowe,
Że ja mam łzy w oczach i schyloną głowę.

* * *

Ty chodzisz po niebie, po błękitnem niebie,
Złote chmurki biją gościniec dla ciebie,
Zorza cię obrzuca różami jasnemi...
Ty chodzisz po niebie, ja — po smutnej ziemi.

* * *

Gdy oczy otworzysz, blaski dnia się złocą;
A ja wstałam czarną, bez rozświtu, nocą...

Ty wiesz, że gdzie pójdziesz, weźmiesz swe pro-
[mienię;
Ja, choć wołam: „światła!“ niosę z sobą cienie.

* * *

Ty kapiesz swe czoło w jasnym, cichym zdroju;
A ja myśl swą nurzam w falach niepokoju...
Ja rozświecam ciernie, ty rozświecasz róże;
Ty tylko pogodę, ja widziałam burze.

* * *

Droga twoja, słońko, równa, jak pierścioneł;
Cicho w morzu tonie kończący się dzioneł;
Nie znasz łez tęsknoty, nadziei uśmiechu;
Zachodzisz bez żalu, wschodzisz bez pośpiechu.

* * *

Ja znam błędne blaski i zaćmienia ducha;
Wiem, że dziś, to odłam przeszłości łańcucha;
Wiem, że jutro wstanie z ścisłością straszliwą,
Jako dawnych przyczyn konieczne ogniwo...

* * *

Więc drzę i na zachód oczy zwracam z trwogą,
I pytam: gdzie idą? czy cienie przemogą

Gasnące te blaski? czy wskresną o świetle?
I pragnę ust tchnieniem utrzymać ich życie.

* * *

Nie bywasz ty, słońko, w ponurej ciemnicy,
Gdzie nędzny skazaniec zamiera z tęsknicy;
Nie bywasz, słońeczko, w poddaszu ubogiem,
Gdzie wilgotne ściany kostnieją za progiem...

* * *

Nie widzisz ty nigdy zbrodni, skrytej w cieniu;
Nie wiesz, co bezsenna noc mówi sumieniu;
I ledwo promyczek pierwszych brzasków błady
Zasłyszysz żądź mętnych płomienne narady.

* * *

Ty nie widzisz, słońko, z wysokiego nieba,
Jak się sen sprzedaje za kawałek chleba;
Ty nie widzisz matki schylonego czoła
Nad kolebką dziecka, co próżno jeść woła...

* * *

Nie widzisz, jak walczy, upada, zwycięża,
Ten młody zapaśnik, co urósł chce w męża;
Nie widzisz ty, słońko, jak myśl gorejąca
Wypala się cicho przy blaskach miesiąca...

* * *

Nie widzisz, jak we łzach stoi lilja blada;
 Nie widzisz, jak gwiazda zabłąkana spada;
 Nie słyszysz szelestu drżącego oddechu,
 I nie znasz pragnienia, ni walki, ni grzechu.

* * *

Ty królewskie czoło podnosisz w błękity,
 Nad świat ten złamany, skłócony, rozbity,
 I nie wiesz, ciskając promieni swych słupem,
 Że jesteś gromnicą, zatloną nad trupem.

* * *

Więc nie miej urazy do mnie, słońko moje,
 Że ja w blaskach twoich zachmurzona stoję;
 Nie patrz na mnie z dziwem oczyma złotemi...
 Ty chodzisz po niebie, ja — po smutnej ziemi!

Wskrós nocy.

W noc cichą czuwam, a myśl wyteżona
 Lecących światów chrzęst płomienny słyszy...
 I drzę, i tęskne wyciągam ramiona
 Do tajemnicy, nurtującej w ciszy.

* * *

O! niech mi powie, kto gwiazd myślą sięga
 I szmeru tajnych prądów życia słucha,
 Gdzie jest tym prawdom złożona przysięga,
 Którymi ludzkość karmi swego ducha?

* * *

Komu i na co jej zbiorowe cele?
 Gdzie ujście mają jej walki, jej trudy,

Jej uniesienia, jej ból, jej wesele?
Gdzie lecą wieki? i gdzie idą ludy?

* * *

Czy ty, przyrodo, chwytasz ich porywy
Słońcu na strzały do złotej cięciwy?
Czy z nienawiści kujesz klęsk swych miecze?
Czy w perły ścinasz gorzkie łzy człowiecze?

* * *

Czy z myśli mędrców budujesz gór szczyty?
Czy z serc niezłomnych wykuwasz granity?
Czy z młodych marzeń przedziesz chmurki płowe?
Czy z tęsknot deszcze lejesz brylatnowe?

* * *

Czy z smutków czarnych dzikie wznosisz puszcze?
Czy uściśnienia przeobrażasz w bluszcze?
Czy z pocałunku stwarzasz różę białą?
Czy z cichych dumań zmierzchom dajesz ciało?

* * *

Czy ty, przyrodo, uśmiechy radosne
Zaklinasz w kwiaty? chwilę szczęścia — w wiosnę?
Nadzieję — w ptaszka, co rankiem świegoce?
Przyjaźń — w gwiazd światło? miłość — w letnie
[noce?

* * *

Czy ty z narodzin i śmierci okrzyku
Zgłoski wykuwasz w tajemnym języku?
Czy ty z uniesień wichrom ciało dajesz,
A ostrzem wgardy dyament w ziemi krajiesz?

* * *

Czy ty zwątpienie w mgły rozsuwasz ciemne?
Rozpaczą ognie podsycaś podziemne?
Z tajnych udręczeń rdze osadzasz krwawe,
A żądze topisz w buchającą lawę?

* * *

Czy z wielkich czynów światy stwarzasz nowe?
Czy krwi wylanej rzeki rubinowe
Przed nowem słońcem przepromieniasz w zorze?
Czy pragnieniami chłoszczesz sine morze?

* * *

Czy głuche gniewy zaklinasz w wulkany?
Wzruszenia tłumów — w grzmot powstrzymywany?
Krzywdy rozwierasz w przepaście bezdenne,
A w pomście gromy rozpalasz płomienne?

* * *

Jak ptak nad morzem, tak na skraju świata
Myśl niespokojna, w skrzydła bijąc, lata

*

I wskrós przeniknąć pragnie nurty mętne,
I w ciszę rzuca pytania namiętne.

* * *

Pójdę, gdzie tchnienia czas nabiera w biegu...
Pójdę, gdzie przestrzeń linje swe rozmierza...
Tam, na przepastnym pochyłym się brzegu,
Gdzie nicość w życie, jak piorun, uderza...

* * *

Tam oko w oko z tajemnicą stanę,
Wieczne ogniwa bytu liczyć pocznę,
Aż prawda zrzuci zasłony obłoczne
I duch mój przejrzy to, co niezbadane.

Tęsknota.

I.

Wpół senne duchy owiewa
Przecuciem świtu;
W zmroki wiosenne przywdziewa
Szatą z błękitu;
Ucisza gwary i szумы
Skinieniem ręki;
Lirnikom szepcze ich dumy,
Ptaszkom — piosenki;
Poezją w krwi młodej płynie
Z cichym szelestem;
Spłonionej mówi dziewczynie:
„Oto ja jestem“;
Na smutnem licu drży cieniem
Spuszczonych powiek,

I w pierś ci puka pragnieniem:
 — „Zbudź się, tyś człowiek!“ —
 Wśród tłumu staje milcząca,
 Niby sierota,
 I myśl uśpioną potrąca —
 Mgielka, tęsknota.

II.

Zwycięzką prawdy potęgą
 Ducha uderza;
 Czoło pochyla nad księgą,
 Krzepi szermierza;
 Do ideałów ramiona
 Wyciąga drżącą,
 I w piersi chwyta spragnioną
 Żłote skry słońca.
 Nad bładem czołem czcicieli
 Chwałą wybłyska;
 Unosi z wieków topieli
 Ducha zjawiska;
 Potężnem pragnień poczęciem
 Rodzi olbrzymy,
 I ust zdmuchuje dotknięciem
 Czczych rojeń dymy.

Kogo poślubi, ten szczyty
 Orłem przeleci,
 Aż ujrzy ciche błękity, —
 Przystań stuleci,
 I już nie zazna pokoju
 Cichej godziny,
 Aż się napije u źródła
 Pierwszej przyczyny.
 W mędrca rozbudza pragnienia
 Podniosłe, czyste,
 I wraża w ludów sumienia
 Prawdy wieczyste.
 Jest tchem idącej ludzkości
 W pracy i w znoju,
 Uśmiechem nieskończoności,
 Sztandarem w boju;
 I wschodzi w ducha głębinie
 Cicha i złota,
 Aż w blaskach wiedzy wypłynie: —
 Gwiazda, tęsknota.

III.

Drży, woła czynu, płonąca,
 Ziemię, popycha

Przez noc chaosu do słońca,
 Walką oddycha.
 Pierś jej — to wulkan, jej oczy —
 To zorza krwawa;
 Przez śmierć do życia, grmiąc, kroczy,
 Przez gwałt — do prawa.
 Dłońmi własnymi rozrywa
 Pąki przyszłości,
 I na dzień biały dobywa
 Kwiaty ludzkości.
 Wre, milcząc, i tajemnicze
 Roznieca żary,
 A gdy odsłoni oblicze,
 Świat trzeszczy stary.
 Jady krzywd zbiera i mierzy
 I pije blada...
 Aż gdy godzina uderzy,
 Piorunem spada.
 Walczy i pragnie, i płonie,
 Duchami miota,
 I chodzi w ogniów koronie —
 Burza, tęsknota.

IV.

W wygasłe wpatrzona światy,
 W gwiazdy stracone,
 Na piersiach zeschłe ma kwiaty,
 Z dumań zasłone.
 Zliczyła wszystkie mogiły,
 Wszystkie ofiary...
 Do walki brakło jej siły,
 Celu i wiary.
 Co ziemskie, rzuciła ziemi;
 Dziś, z sercem zgasłem,
 Oczyma patrzy cichemi
 Za nowem hasłem.
 Groby miłością oplata,
 Jak gniazdo puchem;
 Na świecie, lecz nie ze świata,
 Cieniem jest, duchem...
 Czar wspomnień, ból rozłączenia,
 To jej istota...
 Życie, jak powój — ocienia,
 Cisza, tęsknota.

Czem jesteś?

Lecieć-bym chciała daleko... daleko...
Gdzie z brzoź płaczących srebrne rosy cieką,
Kędy szum lasów pierś przejmuje drżeniem...
— Czem jesteś, szczęście? — wspomnieniem?

* * *

Lecieć-bym chciała tam, gdzie olchy rosną,
Gdzie głogi dzikie zakwitają wiosną,
Gdzie się powoje, jak baśń dziwna, plotą...
— Czem jesteś, szczęście? — tęsknotą?

* * *

Lecieć-bym chciała — za jasnym gdzieś źródłem
Myśl puścić wolno, jak wody bieżące...

I widzieć tylko łan zboża i słońce...
— Czem jesteś, szczęście? — spokojem?

* * *

Leciećbym chciała, lecz nie wiem do czego
Wyciągnąć ręce i przyłgnąć płomieniem...
Idę — a za mną cień smutku dawnego...
— Czem jesteś, szczęście? — złudzeniem?

* * *

Leciećbym chciała do chwilek tych jasnych,
Gdy życie, pragnień nieświadome własnych,
Jest jako blaski, co na wschodzie dniają...
— Czem jesteś, szczęście? — nadzieją?

* * *

Leciećbym chciała... sen cichy, sen złoty,
Prześnić samotna i konać z tęsknoty,
I „kocham“ mówić dalekiem spojrzeniem...
— Czem jesteś, szczęście? — pragnieniem?

* * *

Leciećbym chciała i nie wrócić więcej...
Raz tylko serce uderza gorącej,
A potem cisza... wszystko się prześniło...
— Czem jesteś, szczęście? — mogiłą?

Z dni smutku.

I.

O! dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi
I wszystkim nędzom i tęsknotom ducha,
I niech się niebo drzwiami błękitnemi
Otworzy i Bóg niech słuca!

* * *

Czy Tobie, Boże, imię: „grom i burza“,
Że świat Twój w ogniach się nurza?
Czy Tobie, Boże, imię: „błyskawica“,
Że mu miecz nagi przyswieca?
Czy Tobie imię: „śmierć i wytępienie“,
Że się krwi leją strumienie?
Czy ziemia w chwili gniewu nawałnicy
Iskrą Ci prysła z żrenicy?

Czy, jeśli bóstwo boleść uczuć może,
 Łzę z oczu padła Ci, Boże?
 Czy, gdyś ją cisnął w wir światów bez końca,
 Smutkiem zciemniała twarz słońca?
 Czy padł cień zgrozy w nieskończoność jasną,
 Gdyś wydziedziczył myśl własną?

* * *

Czemu, o Boże, prawdzie nie dasz krzyku
 Głośnego w każdym języku?
 Czemu, gdy forma zna niezmiennie prawo,
 Duch wiedzę zdobywa krwawo?
 Czemu, wpatrzony w ideał daleki,
 Orłem nie lecą doń wieki?
 Czemu to pełne boleści wahanie
 Na drodze dobra, o Panie?!
 Dla czego ludzkość ustaje, powraca,
 Zdobyte plony zatracą,
 A całość prawdy rozbiwszy w okruchy,
 Łamię pojęcia i duchy?
 Czemu jej, Boże, nie powiesz: „mdlejąca
 Z pragnienia, pij światło słońca!”
 Czemu pozwalasz, by w zniemzonym dziejowie
 Szła, krwawiąc piersi i głowę?

* * *

Jeśli jest myślą Twą i Ciebie sięga,
 Gdzie jej świętość i potęga?
 Jeśli Ci obca, czemu tak stęskniona?
 Królową, — gdzie jej korona?
 Branką, przykutą do wozu Twej chwały, —
 Czemu w niej duch taki śmiały?
 Wysłaną w nocy po prawdę pątnicą, —
 Gdzie gwiazdy, które jej świecą?

* * *

Dech tracąc, ludzkość, jak nurek, zapada
 W otchłań, gdzie perła lśni blada,
 I tysiąc śmierci widzi w tej głębinie...
 Ach! czy ze skarbem wypłynie?

* * *

Ludzkość się zrywa, jak ptak z ponad ziemi,
 Skrzydłami skrepowanemi...
 Przed nią dzień jasny i słońce nowych zorze;
 Lecz czy doleci, o Boże?!..

II.

Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżna, jako oceany,
A taką straszną, jak rozwarte rany? . . .
Czemu jej zrównać, zapełnić nie mogą
Wybuchy pomsty ogniów swych pożogą?
Czemu jest zawsze, jak rozpacz, bezdenna,
A jak nienawiść, okropna, płomienna?

* * *

Krwia swoją ludzkość zalewa ją co dnia
W głębie jej leci i cnota, i zbrodnia,
I łza, i klątwa, i miłość, i zdrada;
A przecież wszystko marnie gdzieś przepada . . .

Olbrzymie serca i umysłu siły,
Ruchy miljonów, miljonów mogiły,
Czas rzuca na dno, przez lata, przez wieki,
A brzeg od brzegu zawsze tak daleki!

* * *

W przepaść tę szermierz rzuca hasło boju,
Cichy myśliciel — ustawę pokoju,
Mędrzec — pęk światła słonecznego z nieba,
Nędzarz — pot krwawy i czarny kęs chleba,
Bohater — sławę, genjusz — swoje trudy,
Życie — swe prawa i swoje zjawiska,
Duch — swą tęsknotę, dzieje — całe ludy;
Bóg nawet wstaje i grom swój w nią ciska . . .
A przecież, dotąd pragnieniem ziejąca,
Plamą jest ziemi i przeczeniem słońca.

* * *

Jestże kto, pytam, co zapładnia ziarna,
Które ta zgroza pochłoneła czarna?
I czyż z nich kiedy złoty plon wystrzeli
I bratnim chlebem ludzkość się obdzieli?

* * *

O! śpiesz się słońce, co wschodzisz powoli
Nad przepaściami głębokich niedoli!
O! śpiesz się słońce, niech dzień nowy wstanie!...
Wszak tylko światło zwycięża otchłanie.

*

Najkrwawsze pole.

Nie to jest pole najkrwawsze na ziemi,
Co pije z wojen rubinowej czary
I tak się bieli trupami ludzkimi,

Jak morskie piany, albo białe śniegi . . .

Nie to, gdzie leżą strzaskane sztandary
Na mężnych piersiach, które ich broniły
I kędy, zwarte w dwa wrogie szeregi,
Ścierają się ludów siły.

* * *

Nie to, nad którem, jak śmiertelne chusty,
Ciagną się dymy ciężkie, ołowiane . . .
Nie to, co wiecznie spragnionemi usty
Ssie pierś ludzkości, jak ranę.

Nie to, gdzie żołnierz konający pada,
 Z dala od chaty, od żony, od dzieci,
 I gdzie się jękiem ostatnim spowiada
 Gwieździe, co nad nim, drżąc, świeci.
 Nie to, nad którym wichrom jęczeć trzeba,
 Gorzkiemi łzami padać chłodnym rosom,
 I dzwonić pustym na zagonie kłosom,
 Na przyjście roku bez chleba.

* * *

Lecz to, gdzie duchy, jak orły zwaśnione,
 Biją się w chmurach o prawdę nieznana,
 I gdzie od wieków w dwie strony targano
 Nieskończoności zasłonę.
 Gdzie w zmrokach nocy, w walk krwawych zamieci,
 Tysiąc hipotez ciska błyskawice,
 I po nad którym wieczna burza leci,
 Niosąc duchów nawałnice . . .
 Lecz to, gdzie jeszcze nigdy nikt z śmiertelnych
 Ostatecznego nie dopiął zwycięstwa;
 To, gdzie zastępy najśmielszych i dzielnych
 Mają mogiły męczeństwa.
 Gdzie szermierz prawdy wyrasta w olbrzyma;
 Gdzie myśl, podnosząc miecz badań stalowy,
 Przecina ludzkość na wrogie połowy
 I duchy na ostrzu trzyma.

Gdzie, ciężkim wieków wstrząśnione pochodem,
 Wala się gmachy posepną ruiną;
 Gdzie bogi, wiary i idee giną,
 Przed ustaw wiecznych dowodem.
 Gdzie w sam war bitwy, co grzmi wiekuiście,
 Ludzkość potężnych swych atletów ciska,
 I gdzie z nich każdy znaczy swoje przyjście
 Łuną nowego ogniska.

* * *

O pole straszne! . . . o szranku ty krwawy,
 Co wiekom swoje obwołujesz hasło!
 Nad tobą, w pośród dziejowej kurzawy,
 Sto słońc już wzeszło i zgasło;
 Sto ramion prawdę namiętnie chwyciło,
 Za całość biorąc rozbite atomy;
 Sto serc tu pękło, gdy ideę białą
 Kruszyły fakta, jak gromy.
 Nad tobą sztandar wieczności szeleści . . .
 Porywy kuja miecze twych rycerzy . . .
 A ludzkość czeka, konając z boleści,
 Aż chwila ciszy uderzy.
 Jak wichry, które z dwóch krańców pustyni
 Rwą się, miotając swe piaszczyste żary,
 Tak tutaj walczą w imię bóstw i wiary
 Świątynia przeciw świątyni . . .

A człowiek, zgrozą przejęty i blady,
 Patrzy, jak marmur, krwią zbryzgany, pęka ...
 I jak ognista druzgoce go ręka,
 W gruzy mogilnej zagłady ...

* * *

O bojowisko olbrzymów! ... o pole,
 Gdzie się ścierają żywe ducha prądy!
 Wszystkie sprzeczności i wszystkie niedole
 Czekają na twoje sądy!

Najszlachetniejsze, najgorętsze duchy,
 Przekazujące wiekom swoją chwałę,
 Są w pośród ciebie, jak te chusty białe,
 Co tłumią walki wybuchy ...

Przez chwilę, jako gwiazdy, błękitnieją
 Po nad ludzkością konającą w boju,
 I opatrują rany jej nadzieją

Wiekuiestego pokoju.
 Lecz czas uderza w skrzydła i ulata ...
 Rwą się do walki nowe pokolenia ...
 A nad okrugiem zwichrzonego świata

Wije chorągiew zniszczenia ...
 I nie wiem, czemu Bóg wielki w błękiecie
 Nie zerwie z prawdy słonecznej zasłony,
 Aby spoczęły już raz te miliony,
 Co walczą na śmierć i życie!

Modlitwy wiosenne.

I.

„Ach skrzydeł ludzkości!“ ... ¹⁾
 Niech wolny duch wzleci,
 Szeregom stuleci
 W krainę światłości
 Niech drogę ukaże!
 Niech jutrznią oświeci
 Narodów ołtarze,
 I białe sztandary
 Pokoju, miłości,
 Niech w ciszy rozwinie!
 Niech czynów ofiary
 I wiedzy świątynie,

1) Rückert.

W noc burzy, zawiei,
 Jak przystań nadziei,
 Dla tłumów otworzy!...
 Ach! skrzydeł ludzkości!...

* * *

Ach skrzydeł!... duch wolny,
 Niech z wiecznych praw siłą
 Ruch życia mozołny
 Harmonją zespoli!
 Niech z dzielnych dusz woli
 Wykrzesze diamenty!...
 I świata, co bryła
 Wystygła się zdaje,
 Przypomni świt boży,
 Gdy został poczęty!...
 Z przyszłością dni nasze
 Niech celem skojarzy!
 Niech tchem swym ogrzeje
 Zmartwiałe poddasze...
 Chleb światła rozkraje
 Pomiędzy nędzarzy!...
 Przez wieki, przez dzieje,
 Przez zmroki i świty
 Duch wolny niech wieje,
 Jak szare to ptasze,
 Co leci w błękit!...

Niech życie spaczone
 Uzacni, uprości!...
 Błyskawic koronę
 Niech twórczej da siłę
 I w ziemskim się pyle
 Zniewagać przestanie!...
 Ach! skrzydeł ludzkości!...

* * *

Ach! skrzydeł, o Panie!...
 Niech wszystko, co silne,
 Podniesie swe loty!...
 I ziemia obroty
 Niech swoje przynagła!...
 A prochy mogilne
 I cieniów szeregi
 Niech próżno nie ciężą
 U piór naszych żagla!
 Duch niechaj otchłanie
 Potężnym swym ruchem
 Wypełni po brzegi!...
 Niech prawdy czciciele
 Dostojnie zwyciężą!
 Niech wszystko, co żywe,
 Rozwija się śmieie!
 Niech wszystko, co wielkie,
 Zostanie odczutem!

Nad znojną prac niwę,
W przestrzenie wszechświata
Po rosy kropelkę,
Po siłę miłości
Duch niechaj ulata!...
Ach! skrzydeł ludzkości!

II.

Ty nam, Boże, nie strój ziemi
W kwiatów puchy,
Póki łzami gorącemi
Płaczą duchy ...
Póki głos namiętny bije
W Twe niebiosy,
Niechaj ziemia dżdżu nie pije,
Kwiaty — rosy.
Póki siły dusz omdlałe
Giną marnie,
Niech nie kwitną róże białe,
Ani tarnie ...
Póki ludzkich nędz miliony
Życie kryje,

Niech się lasów cień zielony
 Nie rozwije...
 I niech pączki swe drzemiące
 Lilja chowa,
 Półki głuchych skarg tysiące
 Drży bez słowa...
 Niechaj słowik oniemieje
 Nad dąbrową,
 I niech pieśń zawiodą dzieje
 Hiobową.
 Niech strumienie srebrne wieści
 Ciszey niosą,
 Aż rozbrzmieje krzyk boleści
 Z ranną rosą...
 Burza płaszczy niech rzuci ciemny
 Na błękity,
 Aż wybuchnie ból tajemny,
 Ból ukryty.
 Boże! z ziemi zdejm zasłonę
 Oblubieńczy,
 Półki duchy znieważone
 W pętach jęczą...
 Niechaj w czarnym kirze stanie
 Jak sierota,
 Gdzie mgła światów przez otchłanie
 Wieje złota...

Albo uderz w nią, jak gromem
 Swą prawicą...
 Niech ją ogień niewidomem
 Zieniem chwycą,
 I własnymi swemi żary
 Niech wypieczę
 Blizny swoje, ból swój stary,
 Łzy człowiecze.
 Niech tak stanie gorejąca,
 Jak wulkany,
 I odkryje w blaskach słońca
 Swoje rany,
 Aż Ty, Boże, dojrzysz przecie
 W swym lazurze,
 Jakie kwitną dziś na świecie
 Krwawe róże!...
 Aż ciemnoty zdejmiesz znamię
 Z ludów czoła,
 Do walk cichych wzbudzisz ramię
 Archanioła...
 Aż się w ruch potężny wzmogą
 Żywe prądy,
 I zwyciężką zdepcą nogą
 Nowe lądy...
 Aż zakipią oceany
 Od serc bicia,

Aż podniesie świat zbratany
 Toast życia . . .
 Wtedy, Boże, niech zakwitną
 Łąki świeże,
 Niech się w zieleni aksamitna
 Las ubierze;
 Wtedy daj nam na ołtarze
 Wieńce nowe
 I napoje w wiosny czarze
 Brylantowe . . .
 Lecz dziś, gdy łzami krwawymi
 Płaczą duchy,
 Po cóż, Boże, na tej ziemi
 Kwiatów puchy?

III.

W noc wiosenną, w noc majową,
 Duch się zrywa i ulata
 Po-nad nędze i łzy świata,
 Archanielską trzyma straż . . .
 Ach! czy znajdzie wielkie słowo
 Tajemnicy wszechistnienia?
 Czy też konać ma z pragnienia,
 Ojcze nasz! . . .

* * *

Gdzież ukoi swą tęsknotę,
 Burzą zwątpień wskrós miotany?
 Gdzie poniesie lot zbłąkany?
 Ty mu, Boże, drogę wskaż!

Bo gdy zgasną blaski złote,
Znużon walką nadaremna,
Zapaść może w otchłani ciemną,
Ojczy nasz!

* * *

Ziemia twoja, w oceanie
Księżycowych blasków tonie
I w błękitnej mgły osłonie

Patrzy w cichą nocy twarz ...
Srebrną zbroję daj jej, Panie,
Co nie gasła-by o świetle,
Do walk długich, jako życie ...
Ojczy nasz!

* * *

Tęsknot dreszcze, żary ducha,
Szumy lasów, oddech ziemi,
Akordami potężnymi

Wtórzą hymnom, które grasz ...
O! niech ludzkość je podsłucha!
Niech braterstwo, miłość, zgoda,
Kryształowy ton im poda,
Ojczy nasz! ...

* * *

Niepoczęty, nieskończony,
Dla uspijonych zjawisk bytu,
Oddalone punkta świtu

Stawiasz Ty, co wiecznie trwasz!
Cóż Ci znaczą lat miliony?
Ale duch się rwie w człowieku:
On chce skrzydłem być dla wieku,
Ojczy nasz! ...

* * *

Jeśli nie dość dźwiga znoju
Szala Twoja gorejąca,
Rzuć pragnienia dusz tysiąca

I w błękitach świat ten zważ!
Łez, tęsknoty, niepokoju,
Damy tyle, tyle, Panie,
Że ta chwiejna waga stanie,
Ojczy nasz! ...

* * *

W noc tę cichą, w noc tę błogą,
Rozkwieconą, księżycową,
Po-nad ziemi sennej głową

Gwiazd Twych chórom śpiewać każ!
Niech marzenia mleczną drogą
W świat ją inny, lepszy wiodą ...

*

Niech odetchnie w nim swoboda,
Ojcie nasz!...

* * *

A bezsennych duchów tłumi,
Co prawd wiecznych biegu śledzą,
Tajemniczych głębin wiedzą
W tej srebrzystej ciszy darz!
Niech usłyszają orle szumy
Pracę naprzód, w dal, ludzkości...
Niechaj ujrzają świt przyszłości,
Ojcie nasz!

IV.

Nie skowronkom, nie słowikom,
Ty, co stwarzasz Maj,
Lecz śpiewakom i lirnikom
Siłę pieśni daj!
Starych mistrzów żywe źródło
Ledwo starczą już,
By ugasić niepokoje
Gorejących dusz.
Wiosny! wiosny nam dla pieśni!
Niechaj wstanie wieszcz...
Niech nam pierś otrząśnie z pleśni
Wielkich wzruszeń dreszcz!
Niech się zbudzi narodowa
Lira z śmierci snu!

Niech rozdźwięknie wieszcz słowa,
 Niech nabierze tchu!
 Skrzesz, o Boże! błyskawicę
 Płodnych wiosny burz...
 Odrodzenia tajemnicę
 W pieśni naszej złóż!
 Niech jak zdrój ojczysty wzbierze
 Z naszych łąk i pól...
 Niech, jak pszczoła, pyłki świeże
 Znosi w wspólny ul.
 Niechaj spadną brylantowe,
 Urodzajne dżdże,
 Niech zapłodnią pieśni nowe,
 Niech orzeźwią je!

* * *

Dziś, gdy dajesz posłuchanie
 Najnędnieszej z traw,
 Czyż wyzujesz ducha, Panie,
 Z odrodzenia praw?
 Zastłuchana w pieśń przyrody,
 Czuję łzy i ból...
 Pieją ptacy, szumią wody,
 A gdzież jest ich król?
 Gdzie potężne owe hasła,
 Które budzą lwy?
 Gdzie pieśń nasza? czy zagasła?
 Czy ją tłumią łzy?

Czy już Tobie zbrakło, Panie,
 Nieśmiertelnych lir?
 Kiedyż dla nas wieszcz powstanie,
 Z pieśni zerwie kir?
 Gdy wokoło wre i tętni
 Życia świeży ruch,
 Czyż my tylko siedziem smętni,
 Jak wyklęty duch?
 Czyż się wszystkie skry wytlili
 Piorunowych drgnień?...
 Co jesteśmy? martwe bryły?
 Co jesteśmy? ... cień?...

* * *

Panie! dziś przed Tobą stoję,
 Dziecko ziemi tej,
 Zlej Ty na nią światła zdroje,
 Zdroje siły zlej!
 Myśli nasze i pragnienia,
 Jako struny zwiąż,
 Aż z naszego pokolenia,
 Wstanie lirnik-mąż!
 Dostrój wyżej, wyżej jeszcze,
 Duchów naszych ton,
 Niech uderzą pieśni wieszczce
 W serca, jako w dzwon!...

Jak mi smutno !

Ach ! jak mi smutno być, jak fala drżąca,
Która, w namiętnych uniesień zapędzie,
Srebrną pierś swoje o ziemię roztrąca,

I łamie skrzydła łabędzie . . .

W każdym porywie czuć całą istotą,
Jak szklane kęgi powietrza mnie gniotą,
I tkwić w materji władzami wszystkimi,
Jak niewolnica spętana łańcuchem,
I wiecznie ciężyc — i spadać ku ziemi. . .
Ach ! jak mi smutno, że nie jestem duchem !

* * *

Skrzydłami z tobą spleciona, a cicha,
Leciećbym chciała w dalekie błękity,

I pić wieczyście rzeźwiące zachwyty
 Z lilji kielicha...
 I na żądz ziemię ze smutkiem poglądać,
 I nie nie pragnąć, niczego nie żądać,
 I być dla ciebie, mój tęskny i biały,
 Bliźnim aniołem — i bratem — i druhem...
 I w słońce lecieć, jak dwie srebrne strzały...
 Ach! jak mi smutno, że nie jestem duchem!..

* * *

W powietrzu słyhać szum gwiazdy, co spada...
 Morze się łamie do dna z nawałnicą...
 W przepaść się rzuca dysząca kaskada,
 Srebrną mgławicą...
 Anioły białe, w noc wieczną stracone,
 Gubią z nad czoła promienną koronę...
 Całej ludzkości pragnienia i winy
 Wrą naokoło straszliwym wybuchem...
 Ach! weź mnie z sobą i unieś w błękity!...
 Jakże mi smutno, że nie jestem duchem!

* * *

Pójdź! na twych piersiach utul moje skronie
 I mów mi słowa anielskie, najcichsze...
 Cóż nam do ziemi!.. niech wre i niech płonie
 W żądz skwarnym wicherze!
 Ja — niech tak z tobą na zawsze zostanie,

I niech nad nami gwiazdy zadumane
 Mgliste zasłony rozpostrą w milczeniu,
 Nieskończoności unosząc nas ruchem...
 Pójdź!.. czemu bledniesz i drżysz, mój promieniu?..
 Ach! jak mi smutno, że nie jestem duchem!

* * *

O ziemio! praw swych mścicielko! o ziemio,
 Która na duchach kładziesz swoje piętno,
 I szorstką dłonią budzisz tych, co drzemią
 W noc cichą i beznamietną...
 I do ust, choćby je najświętsze słowo
 Zwarło pieczęcią swoją rubinową,
 Podajesz czarę ognia i płomieni,
 I sen odpędzasz jakimś wrzeniem głuchem...
 O ziemio! puść mnie do światła z twych cieni!..
 Ach! jak mi smutno, że nie jestem duchem!

— — —

OBRAZKI.

I.

Có pocznie?

Wśród nocy — własne oczy jej świeciły
Zgrozy pochodnią. . .
Biegła, bo ustać nie miałyby siły
Pod swoją zbrodnią. . .
Od wichru myśli, na głowie jej wstały
Zburzone włosy. . .
Biegła — jak gdyby poświsty ją gnały,
Lub różeg ciosy.
Bose jej stopy ślad wgniotły leciuchny,
W śnieg srebrny, świeży,

Aż tam, gdzie śpiący synek jej bieluchny
 Pod murem leży...
 Gdzież biegnie? — pójdzież zapytać się rosy,
 Czy go wyżywi?
 Czy też rwać pocznie stargane swe włosy,
 Jak nieszczęśliwi!
 Czy pójdzie nocy tej błagać, by cieniem
 Czoło jej skryła?
 Żeby jej ziemia rzuconym kamieniem
 Nie znieważyła?
 Czy pójdzie w lasy bić głową o sosny,
 Gdzie pustka głucha?
 Czy stanie nagle — i w głosek żałosny,
 Drżąc, się zasłucha?
 Czy pójdzie w góry, co stopy jej krwawić
 Zębami poczną?
 Czy wróci błąda, by dziecię swe zbawić
 Przed dolą mroczną?
 Czy, jak zdeptane stokrocie na łące,
 Ugnie swe czoło?
 Czy wbije oczy, jak noże płonące,
 W ciżbę wesółą?
 Czy krzykiem pójdzie rozbudzić potęgi,
 Co drzemią senne?
 Czy w twarz, z policzkiem, odrzuci przysięgi
 Zdrady płomienne?
 Czy stanie tutaj, pod niebios pręgierzem,

W błyskawic wstydzie?
 Czy pójdzie los swój podzielić ze zwierzem,
 I żyć w ohydzie?
 Czy, załamawszy ręce, jak Niobe
 Tu skamienieje,
 I stać tak będzie, aż wieku chorobę
 Wyleczą dzieje?
 Czy, jak drzewina, gdy robak ją stoczy,
 Padnie wśród drogi,
 Aż w prochu zdepcą blask płowych warkoczy
 Przechodniów nogi?
 Czy prawodawcom ukaże się we śnie,
 Jak widmo drżące,
 I zbudzi sennych, wołając boleśnie:
 „Jest nas tysiące!“
 Czy pod mur wróci — i porwie na ręce
 Swego chłopczyka?
 Czy zacznie szarpać to ciało dziecięce,
 Jak lwica dzika?
 Czy pójdzie prosić jasnego miesiąca
 O srebrny rąbek,
 By cieplej miała dziecinka jej drżąca,
 Biały gołębek?
 Czy pójdzie prosić gwiazd, żeby go strzegły,
 Bo matki nie ma?
 Czy zaklnie cienie, by za nią nie biegły,
 Jak anathema?

Czy poda piersi raz jeszcze przed świtem
 Dziecku u łona?
 Czy krzyk natury zagłuszy swym zgrzytem,
 Padnie i skona?..

* * *

O myślicielu! co pocznie ta matka?
 To drobne dziecię?..
 Milczysz! — jak ciemną jest życia zagadka!
 Ileż łez w świecie!..

II.

Sobotni wieczór.

Od zgrzytającej zębami maszyny
 Powstał znudzony, z osłupiałem okiem,
 W którym się palił płomyk jakiś siny,
 I przeszedł izbę w milczeniu głębokiem.
 O czym miał mówić? — myśl jego, wtłoczona
 Pomiedzy koła, i szruby, i piły,
 Była tak ciężką, jak jego ramiona,
 Co się bezwładnie wzdłuż ciała zwiesiły...
 O czym miał mówić? wszak świata obroty,
 Jego pragnienia, i walki, i ruchy,
 Nie dobiegają tam, gdzie ciężkie młoty,
 Grzmiąc przez dzień cały, ogłuszają duchy.
 Jak senny przeszedł przez puste warsztaty

Z głową zwieszoną, obliczem wygasłem,
 Aż tam, gdzie kassy okienko z za kraty
 Migało wypłat tygodniowych hasłem.
 W około gwarным cisnęli się tłumem
 Dnia najemnicy, z zamgloną źrenicą;
 A zmrok zapadał z głuchym jakimś szumem
 Po-nad tych istnień smutną tajemnicą...
 Zapłatę swoją wziął w ciżbie ostatni,
 I wyszedł, czoło ocierając z potu...
 Po dniu spędzonym wśród maszyn łoskotu
 Chciałby usłyszeć głos ludzki, głos bratni,
 Myśl z odrętwienia rozbudzić w gawędzie,
 Ucisnąć rękę przyjaźni życzliwą,
 Poczuć w swym bycie nie martwe narzędzie,
 Lecz jakieś żywe ludzkości ogniwo...
 Stał w ulicy: na rogu jaskrawy
 Napis obwieszczał, że tutaj dostanie
 Głośnej muzyki i hucznej zabawy,
 I zapomnienia o każdej swej ranie...
 U wejścia para buchnęła gorąca,
 Tłum robotników cisnął się nawałem,
 A błędny obłok skrzydłem swoim białem
 Chwytał przebłyśki gasnącego słońca...
 Cofnął się młody wyrobnik z przed progu;
 Ten zmierzch wieczorny, przejrzysty, różowy,
 Jakieś mu dumki nawiewał do głowy
 O wiosnie, ciszy, przyrodzie i Bogu,

Jakieś pytania o życiu, o świecie,
 Zmąconą falą o duszę mu biły...
 On czuł się częścią i ruchu, i siły,
 Lecz nieświadomą i bierną, jak dziecko...
 Powiew żywszego, szerszego już prądu
 Pchnął myśli jego na głębie od brzegu...
 Lecz brakło steru... i w błędnym tym biegu,
 Nie umiał dostrzedz przystani i lądu.
 Czuł, że są wyższe i czystsze uciechy
 Nad wrzask pijanej ciżby i muzyki,
 Nad wyuzdaną swawolę i śmiechy,
 Nad brzęk kieliszków, i kłatwy, i krzyki...
 Lecz gdzie je znaleźć?... ach! gdyby w tym tłumie
 Usłyszał jakieś dobre, mądre słowo,
 Rzeźwiące rosą myśl jego jałową,
 Jakżeby słuchał w poważnej zadumie!
 Jakżeby chętnie podzielił się biciem
 Serca, stwardniałej dłoni swej uściskiem!..
 Jakżeby chętnie żył choć chwilę życiem,
 Wiedzy, i światła, i prac ducha blizkiem...
 Stał tak niepewny a wrzawa kipiała.
 Przed nim szli ludzie; myślące oblicza
 Siła sympatii jakiejś tajemnicza
 Nieraz ku niemu przyjaźnie zwracała...
 Z przechodniów owych niejeden zapewne
 Kochał lud, myślał o jego oświacie,
 I miał dla niego to uczucie rzewne,

Które obczemu nawet mówi: „bracie!“...
 Lecz gdzież są drogi, na którychby duchy
 Dwóch sfer odmiennych schodziły się społem?
 Czyliż zwyczaj, jak więzów łańcuchy,
 Każdej z nich ciasnem nie zamknęły kołem!
 Przedmiotem czyjej troski i narady
 Jest znikczemnienie w zwierzęcym spoczynku?
 Czyliż więc dziwno, że wyrobnik błady
 Postał, podumał, i poszedł — do szynku.

III.

Wolny najmita

Wązką ścieżyną, co wije się wstęgą
 Między półkami jęczmienia i żyta,
 Szedł błady, nędzną odziany siermięgą,
 Wolny najmita.

I nigdy wyraz nie był dalszym treści,
 Jak w zestawieniu takim uragliwem;
 Nigdy nie było tak głuchej boleści
 W jestestwie żywem.

Rok ten był ciężki: ulewa smagała
 Srebrnym swym biczem wiosenne zasiewy,
 I ziemia we łzach zaledwo wydała
 Słomę a plewy.

Z chaty, za którą zaległy podatki,
 Wygnany nędzarz nie żegnał nikogo...

Tylko garść ziemi zawiązał do szmatki

I poszedł drogą.

W powietrzu ciche zawisły błękity,

Echo fujarki z pod lasn wschód wita...

Stanął i otarł łzę połą swej świty

Wolny najmita.

Wolny, bo z wiezów, jakiemi go przykuł

Rodzinny zagon, gdzie pot ronił krwawy,

Już go rozwiązał bezduszny artykuł

Twardej ustawy.

Wolny, bo nie miał dać już dzisiaj komu

Świeżego siana pokosu u żłoba;

Wolny, bo rzucić mógł dach swego domu,

Gdy się podoba...

Wolny, bo nie mu nie ciąży na świecie, —

Kosa ta chyba, co zwiśla z ramienia,

I nędzny łachman sukmany na grzbiecie,

I ból istnienia.

Wolny, bo jego ostatni sierota,

Co z głodu opuchł na wiosnę, nie żyje...

Pies nawet stary pozostał u płota

I z cicha wyje.

Wolny! — wszak może iść, albo spoczywać,

Albo kłać z zgrzytem tłumionej rozpacz;

Może oszaleć, i płakać, i śpiewać, —

Bóg mu przebaczy.

Może zastygnąć, jak szrony, od chłodu,

Bić głową w ziemię, jak czynią szaleni...

Od wschodu słońca, do słońca zachodu

Nie się nie zmienia.

Ubogi zagon u nędznej twej chatki,

I mokrą łączkę, i mszary, i wrzosa,

Obsadzi urząd... podatki! podatki!

Ty idź do kosy!

Idź, idź! opłatę do kassy wnieść trzeba,

Choć jedno ziarno wydadzą trzy kłosy,

I choć nie zaznasz przez rok cały chleba...

Idź, idź do kosy!

Czegóż on stoi? wszak wolny, jak ptacy?

Chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera;

Czy się utopi, czy chwyci się pracy,

Nikt się nie spiera.

I choćby garścią rwał włosy na głowie,

Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta...

Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie...

Wolny najmita!

IV.

Przed sądem.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnemi,
W których łąy wielkie i srebrne zbierały
I gasły w rzesach spuszczonej ku ziemi;
Błady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozpłakać się, i wołać: „matko!”
Gdyby miał matkę; i mógł stroić psoty,
I pocałunków żądać, i pieszczoty,
I spać na piersiach ojca; a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda, i już mrący,
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

* * *

A dziwna była ta sala sądowa:
Wielka, i pusta, i ciemna, i chłodna,
I bezlitosna, i łąz ludzkich głodna,
I nigdy dla nich nie mająca słowa

Miłości bratniej, i taka surowa,
Tak spiskująca ławkami w półkole
Na ludzką nędzę i ludzką niedolę, —
Że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,
Zdawał się cierpieć i drżeć na swym krzyżu.

* * *

Przy winowajcy nie było nikogo...
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą;
Chyba dzieciństwo, nędz pełne, sieroty,
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe.

* * *

Wszedł sędzia, spojrział i rzekł: „gdzie rodzice?”
„Nieznani“ — odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wzniosł zgasłe, błękitne źrenice,
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Jak gdyby nagle, od jednego słowa,
Zjęło go zimno i pustka grobowa...
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu: „czy w wiosce jest szkoła?”
— „Nie“. — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie,
Przytem — pytanie było jakieś dziwne...

Wahał się chwilę, czy właściwem będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokóle;
Więc wyprostował palce swoje sztywne
I bębnił z lekka po czarnej bibule.

* * *

A sędzia patrzył na drżącą dziecięcą:
Na ręce nagie, wychudłe i sine;
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany;
Na blask tych oczu zmacony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy;
Na drobną główką, gdzie myśl głucho spiąca
Nie znała świata innego, prócz słońca,
I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy.

* * *

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,
I w piersi uczuł drżenie tajemnicze,
Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość z czołem zachmurzonym
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
I jakimś grzmiącym i ogromnym słowem
Oblicza plony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia...
I widział, jak szły gęste, ciemne tłumy
I tamowały ruch globu w błękicie...
I spostrzegł, pełny trwogi i zadumy,

Że były chmurą ogromną o świecie,
Przez którą przebić nie mogło się słońce,
I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące...
Widział, że tłum ten — to siła, stracona
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości,
I czytał w groźnem spojrzeniu przyszłości,

Że chce rachunku z miliona...

I ujrzał nagle, że wydziedziczeni
Za społeczeństwa swego cierpią winy;
I przerażony — posłyszał w przestrzeni
Sady — nad sprawą chłopczyny...

* * *

„Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi?
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus sędzi!“

Lecz krzyż czarny

Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące w obec łez ołtarze. . .
A sędzia powstał, i szedł, gdzie pachole
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką jego płowej głowy,
I rzekł: „pójdź dziecię! ja cię uczyć każę!“

V.

Z wiejskiej szkółki.

Wiosenny powiew, co kwiatów na łące
Zbudził kielichy,
Usta jej zimne, pobladłe, milczące,
Całował cichy.
Leciuchnem drzeniem przejmował zasłony
Czarnej sukienki,
I pęk róż dzikich, i wianek zielony
W głowach trumienki...
Cicho szeleszcząc przez powój i rąbki
Białych firanek,
Nienakarmione wypłaszał gołąbki
Na pusty ganek...

Otwartem oknem jaskółka wleciała
 Z pieśnią majową,
 I czarnem skrzydłem mignęła, jak strzała,
 Nad martwą głową.
 Gromnica błyski zimne, jak łyzy cudze,
 Rzuciła drżąc,
 Ruchomą plamą czerniejąc na smudze
 Złotego słońca.
 Nikt się nie modlił, nikt we łzach nie klęczał
 Przy tej trumience;
 Nikt się z tą bladą nie żegnał, nie jęczał,
 Złamawszy ręce...
 I tylko Chrystus wyciągał ramiona
 Z krzyża boleśnie,
 I tylko pliszka, z gałązki spłoszona,
 Nuciała pieśnię.

* * *

Nagle z kościołka rozgrzmiały się dzwony,
 Przeciągłe, łzawe,
 A las zaszumiał w chór sosen zielony
 Śmiertelne „ave“.
 Na łąki idąc, ze świtem i rosą,
 Wiejska gromada
 Stała w progu, ten z sierpem, ów z kosą—
 Jako wypada.
 Pod przyzbą stói, oparta pod brodę,

Znachorka siwa,
 Wróżąc sąsiadkom na lny ich pogodę,
 A deszcz na żniwa...
 Młode wieśniaczki z oczyma suchemi
 Wzdychają głośno,
 A dziad zawodzi, zasiadłszy na ziemi,
 Pieśnią żałosną.
 W tem śmiech wybuchnął kaskadą wesołą:
 To dziatwa wioski,
 Co się zebrała przed pustą dziś szkołą,
 Gwarząc bez troski...
 Śmierć z swym spokojem ustąpić musiała
 Przed życia ruchem.
 I tak zasnęła ta cicha i biała
 Wśród obcych duchem.

* * *

O lesie ciemny! o smutne wy dzwony!
 Kogo żegnacie?
 Gdzie jest jej matka? gdzie ojciec rodzony?
 Gdzie bracia w chacie?
 — Rodzona matka — to ziemia, co płowy
 Plon żyta dała...
 — Ojciec rodzony, to lud ten wioskowy...
 Tak go kochała!
 — Rodzone siostry i bracia rodzeni,
 To wiejskie dziatki,

Te, które wiodła do światła od cieni,
 Z uczuciem matki.
 Młoda żniwiarka na wspólnych prac niwie
 Stała śmiało,
 I snop swój ciężki wiązała cierpliwie,
 Przez dobę całą.
 Choć nikt zachęty nie ozwał się słowem,
 Nie dał pomocy,
 Trwała tak, stojąc na polu jałowem
 Z świtu do nocy.
 I tylko czasem, pobladła, znużona,
 Z mokrą powieką,
 Wznosiła swoje mdlejące ramiona
 W przestrzeń daleką;
 I tylko czasem szepnęła: „jak ciemno!
 Kiedyż zadnieje?“
 Walcząc z śmiertelną niemocą daremno,
 Tracąc nadzieję.
 Ach! ona była, jak tęcza, co ziemię
 Jednoczy z niebem...
 Była skowronkiem dla wioski, co drzemie,
 Dla ducha — chlebem...
 I była rosą, co rzeźwi o świecie
 Ziola mdlejące...
 Była gwiazdeczką, co czuwa w błękanie.
 Nim wszędzie słońce.

* * *

Dziś stary cieśla w trumienkę sosnową
 Zabija ćwieki,
 I krzyż zakreśla w powietrzu nad głową
 W odjazd daleki...
 Ubogi wózek zaskrzypiał na piasku
 Samotną drogą,
 Przed nim mgła srebrna, a za nim snop blasku, —
 Więcej nikogo.
 Tylko sierotka żegnała go mała
 Smutnem wejrzeniem,
 Tylko się róża w ogródku rozwiała
 Ostatniem tchnieniem...
 Tylko jaskółki za trumną leciały,
 Szczebiocąc długo...
 I tylko tuman został cichy, biały,
 Nad modrą strugą.

VI.

Bez dachu.

Noc się podniosła, cała w mgłach i w bieli,
I srebrnem tchnieniem owiała stolicę,
I brylantowych iskier błyskawice

Roztliła w śniegów pościeli.

Kto miał ognisko własne i ramiona,
Co go czekały, jak pieśczęt ponęta,
Mówił do nocy tej: „błogosławiona!“

Kto nie miał, mówił: „przekięta!“
A takich głosów było, ach! tysiące...
A wszystkie z zimna i zwątpienia drżące,
A wszystkie dziwnie przeraźliwe w ciszy...

O gwiazdy! czy Bóg je słyszy?
Patrzycie blade, i ja patrzę blada,

Wicher się zrywa śnieg zawiewa drogę...
O gwiazdy! jeśli która odpowiada,
Ja was dosłyszeć nie mogę!...

* * *

O nocy srebrna! o nocy, królowo!
Ty masz żelazne dla nędzarzy berło...
A mglistą szronów zasłonę nad głową
Spinasz zastygłych łez perłą.
O nocy! czyliż gwiazd twych jasnych z nieba
Pragnie ta ciżba, wybladła i skrzepła?
Przez litość, słuchaj! wszak oni chcą chleba —

I tylko troszeczkę ciepła!
Ach! gdybym była tobą, o królowo!
Największy brylant, co w lazurach świeci,
Dałabym nędznym w tę zamięć śniegową
Na chleb i ogień dla dzieci...
I wiem, że niebo nie byłoby bledsze,
Gdyby za jedną tę gwiazdę w błękicie,
Jasne źrenice, gdzie znów wskrzesło życie,
Świeciły łzami w powietrze...

O nocy! idziesz cicha, lodowata,
Nad czołem twojem skrzy śniegów korona;
A twoja srebrna, ciężka, długa szata,
Całunem jest — dla miljona!

* * *

Przed bramą, w której płonęły latarnie,
Stanął chłopczyna w tę mroźną zawieję...
Biedny! on myślał, że mur go przygarnie,
Że go ten kamień ogrzeje...

Lecz stróż drzwi zamknął na rygle... i naraz
Łzy się dziecięce, jak perły, rozsnuły...
— „Gotów tu zmarznąć, a potem ambaras
Dla wszystkich... śledztwo... cyrkule!”
Chłopczyna odszedł, płacząc. — Tam, w oddali,
Widać świątyni granitowe mury...
A po nad niemi mgła białych opali,

A wyżej — lodowe chmury,
I krzyż. Sierota uklęknął przed progiem;
W powietrzu, szronów latały djamenty...
Chciał wejść, lecz kościół szczelnie był zamknięty,
Razem z litością — i z Bogiem.
Ach! gdyby Chrystus tu przebywał z nami,
Wiem, że-by chodził ciemnymi nocami
I zbierał głodnych, zziębniętych nędzarzy,
I tulił u swych ołtarzy.

* * *

Skostniałe dziecię szklanemi oczyma
Patrzyło w niebo, gdzie mleczna łni droga;
Chciało się skarżyć, lecz matki już nie ma,
Mówiło zatem do Boga:
— „Ojcze nasz“... Jakto, o synu królewski!

Ojca twojego narody zwa Bogiem,
 A ty, wpatrzony w ten pałac niebieski,
 Konasz, bez dachu, za progiem?
 „Ojcie nasz“ mówisz... a czym ty bratem?
 Czy tych, co w zbytku umarłą tkwią duszą,
 I głośnym pełnych puharów wiwatem
 Gasnące jęki twe głośzą?
 „Ojcie nasz!..“ Boże! czy słyszysz to dziecię,
 Co usta z nędzy zbielełe otwiera?
 Ach! ono wierzy, żeś ojcem mu przecie,
 I z wiarą taką — umiera!

* * *

Dziecię mówiło pacierz... mgła srebrzysta
 Z tchnieniem ust jego lekko się rozwiała,
 Z razu gorętsza i błękitno biała,
 Później — dziwnie przezroczysta,
 Wreszcie zanikła... wpół otwarte wargi
 Przestały szeptać modlitwy i skargi...
 Wobec ciemnego, milczącego gmachu,
 Dziecię skonało — bez dachu.

Czy marzą?

Czy marzą kiedy te czoła schylone,
 Które dźwigają cierniową koronę
 Codziennej troski, nad zbladłą w łzach twarzą...

Czy one marzą?

Czy w tych źrenicach zamglonych rozbłyska
 Niekiedy iskra wielkiego ogniska,
 Przy którym duchy od wieków się grzeją

Wspólną nadzieją?

Czy te ramiona od taczek swej biedy
 W chwilach tęsknoty podnoszą się kiedy
 Tam, gdzie ludzkości całej ideały

Tron mają białe?

Błazi nędzarze przy cudzym warsztacie
 Co zasypiają pod snów ciężką strażą,

I ci, co wloką dnie w zapadłej chacie, —

Czy oni marzą?

Czy słyszą kiedy wśród samotnych godzin

Głuchy szum wieków idących z kolei,

I ciche szmery tajemnych narodzin

Wielkich idei.

Czy w odrętwieniu swoim lodowatym

Czuja ten płomień braterskiej miłości,

Co łączy duchy nad nędzą i światem,

W imię przyszłości?

Czy ci schyleni tak blisko do ziemi

Nagła jej pochód tętnami własnymi?

I czy się czuje myśl wydziedziczona

Cząstką miljona?

Duchy znużone i duchy mdlejące

Czy wierzą, że się te zmroki przeważą?

Czy przeczuwają jaśniejszych dni słońce?

Czy one marzą?

Jeśli nie — szerzej roznieśmy ognisko!

Niech spotęgnie i światło, i ciepło;

Uściskiem bratnim przyciągnijmy blisko

Pierś ludu skrzepłą.

Jeśli nie — wyżej podnieśmy sztandary!

Niech nędzarz dojrzy walczących z ciemnotą

I niech dosłysz okrzyk, pełny wiary

W jutrzeńkę złotą!

Przed odlotem.

Z jaskółką czarną rzucam gniazdko moje,

Wioskę zieloną...

Przed mną lecą jakieś niepokoje

Chmurką spłoszoną...

Słońce mi w drogę daje złotą smugę,

Gdzie ścieżka płowa,

A łąka za mną śle błękitną strugę,

Szepecząc: „bądź zdrowa!”

Porzucam wszystko, idę w świat daleki!

Tylkobym rada

Wziąć z sobą sznury srebrzyste tej rzeki,

Co hucząc spada...

Przejrzysty lazur szerokiej przestrzeni,

I oddech wolny,

I chłód ożywczy świeżych leśnych cieni,
 I kwiat ten polny...
 Tylko-bym chciała tej brzozy płaczącej
 Wziąć z sobą smutki,
 I parów we mgłach wilgotnych dyszący,
 I niezabudki...
 Wieczorną gwiazdę, co w ciszy błękitu
 Pała milcząca...
 I srebrne hasła, i błyski przedświtu
 O wschodzie słońca.
 Tylkobym w kielich z białego powoju
 Rosy wziąć rada,
 I znane szepty lubego mi źródła,
 Co przez sen gada...
 Echo fujarki, chrzest kosi na łące,
 Piosnkę żniwiarzy...
 I słówko bratnie, serdeczne, gorące :
 „Niechaj Bóg darzy!“

Co to jest życie?

Co to jest życie?... schylona nad księgą
 Wiecznych zagadnień o śmierci i bycie,
 Myśl wstrząsa niebios i ziemi potęgą,
 Pytając: co to jest życie?
 Jako świat dawny, tak dawno palące
 Słowo to, w błękit wyrzucone, leci...
 A nad ludzkością zadumaną słońce
 W ciszy powstaje i świeci...
 I żaden odzew nie koi nam ducha,
 I nie rozjaśnia żaden promień nocy...
 Ach! kiedyż wstanie ten, który nas słucha,
 Milczący, w swojej wszechmocy?

Co to jest życie? oś przemian i ruchu,
Harmonji zjawisk ton główny, przewodni...
Płomyk, co gaśnie przy śmierci podmuchu,

I znów się chwyta pochodni.

I co jest życie?.. żebracze łachmany...

Purpura królów... siła myśliciela...

Nędza, co w istnieniu miliony się wciela,

Wlokąc materji kajdany!

Upadek duchów, walk pole najkrwawsze,

Gdzie nikt nie mierzy oreża, ni siły,

I gdzie zwycięstwo otrzymuje zawsze

Czarną chorągiew mogiły.

Co to jest życie? — uśmiechy wiosenne,

Sznur pocałunków, jutrzienka spłoniona,

Zroszone róże, marzenia półsenne,

Uścisk, co splata ramiona.

I co jest życie? — odwieczna tęsknica

Do oddalonych żywej wody źrójów...

Żar, co pierś trawi i ogień podsyca

Burzliwym tehem niepokoju.

Trud bez zapłaty, samotność i wzgarda,

Znój krwawy czoła i łyzy krwawe oka,

Boleść, jak groby czarna i głęboka,

Dola sieroca i twarda.

* * *

Cóż więc jest życie? do czego zbudzone?

Czemu tak strasznie rozłamane w sobie? —

Oto w błękitach ma swoją koronę

A trwałość odrodzeń w grobie.

Objawy jego wszędzie, a istota

Niepochwycona, lotna i subtelna...

Dotkniesz go ręką? — garść pyłu i błota,

Myślą? — iskra nieśmiertelna.

Gdzież jest ten nikły punkt, ta tajemnicza

Spójnia, co wieczne łączy ze znikomem,

I zmiennej formie, która jest jej domem,

Potęgi bytu użycza?

I komu dano chwycić moment wielki,

W którym materja przyjmuje palące

Znamiona ducha, jak rosy kropelki,

Co rankiem zwierciadłą słońce?

* * *

O myśli ludzka! gdzieś ty nie była

Po słowo życia, płomienna i drżąca?

I jaka czara, tuż przy ustach schnąca,

W pragnieniu cię nie poila?

Ileż ty razy, o biedna ludzkości,

Wzniesiesz się jeszcze i padniesz znużona,

Zanim podstawy dla swojej przyszłości

Wyczerpniesz z własnego łona?

Zanim zdobędziesz choć tyle w tym boju,

Z tajemniczością własnego istnienia,
 Byś cele swoje, bez łez i bez drżenia,
 Rozważać mogła w spokoju?
 Kiedyż ukoisz się i pójdiesz, cicha,
 Wytkniętą drogą, bez skargi, świadomie
 Dążąc tam, kędy myśl boża oddycha
 W słonecznych światów ogromie?

* * *

O! gdybym mogła z łez własnych, z tęsknoty,
 Utknąć, jak tęczę, pas długi, pas złoty;
 Rzuciłabym go w gościniec daleki,
 By prędzej po nim szły wieki!
 Ale w ludzkości, jak kłątwa niedoli,
 Są takie słowa, których nic nie zgłuszy...
 Myśl od nich płonie, i pierś od nich boli,
 I ciemno robi się w duszy...
 I wiem, że wiecznie, wśród istnień gromady,
 Z okiem utkwionem w dalekim błękanie,
 Stać będzie człowiek samotny i blady,
 Pytając: co to jest życie?

Bądź silnym.

Bądź silnym, bracie! skrzydłami orlemi
 Bij chmury, co ci grożą nawałnicą...
 Nas dni tak smutne, tak ciężkie zrodziły,
 Że wielkiej ducha potrzeba jest siły,
 By nie zagasnąć krwawą błyskawicą
 U jakiejś wczesnej, samotnej mogiły,
 Lecz żyć na pełnej łez ziemi.

* * *

Bądź silnym! niech twe młodzieńcze ramiona
 Podźwigną brzemię, uniesień twych godne...
 Niech miłość bratnia pierś twoją rozszerzy...
 Póki w ciemnocie choć jeden duch kona,
 Póki choć jedno serce, prawdy głodne,
 Nie wie, do czego przykuć swe pragnienia;
 Nie wolno spocząć żadnemu z szermierzy
 W ciszy własnego istnienia.

* * *

Bądź silnym! życie swą wagą przygniata
Tych, co bez steru świadomej zasady,
Wśród zdarzeń, zjawisk i sprzeczności świata,
Błądzą, wypadków uniesieni ruchem,
Własnym swym czynom nieobecni duchem,

Jako lunatyk ów blady...

Ziemia się na nich nie wesprze, zaiste!
A ludzkość nigdy w pochodzie nie liczy
Tych, co przed walką cownawszy się — giną.
I po-za duchów wytrwałych dziedziną
Tak znikną, jako ów cień tajemniczy,
Gdy wschodzi słońce przeczyste.

* * *

Garstka szlachetnych, co przyszłość zdobywa,
Jest jako luźne, słoneczne ogniwa,
Które się w całość połączyć nie mogą...
I brak im może właśnie twego ducha,
By zamknąć kręgi wielkiego łańcucha,
Co glob opaszą i nową pchną drogą.

* * *

Bądź silnym bracie!... ach, jabym pierś twoją
Pragnęła zakuć djamentową zbroją,
Przed ziemskiej żądz palącym oddechem,
Co cię porywa w pełną wichrów drogę,
Przed zatrutemi zwątpienia strzałami,

Co biją w ciebie, jako błyskawice...
Lecz jestem sama słabą, i nie mogę
Być tarczą twoją, choć stoję przy tobie
Z rozpostartemi, jak siostra, rękami,
I patrzę w twoje gasnące źrenice,
I na twe usta, co bluźnią uśmiechem
Tajemnej ducha twojego żałobie,
Jak bluźni róża czarnej sierót szacie;
I próżno ciebie chcę obronić łzami
Przed skwarem życia, co pierś twą wysusza;
I próżno, patrząc, jak kona twa dusza,
Wołam! bądź silnym, o bracie!...

* * *

Bądź silnym! ziemia pod stopą się chwieje...
Stać trzeba z mężkiem wytrwaniem wśród burzy...
Ten, kto nieść będzie pochodnię nadziei,
I zatknie sztandar zwycięstwa na szczytach,
Kto ducha swego odcisnie z lwią siłą
Na wieku swoim, — ten, komu ta cała
Ziemia jest jakby niezastyglą bryłą,
Co jego piętna czekała, —
Tan tylko imię „człowieka“ wysłuży
W nieśmiertelności błękitach!

G ł ó d.

Nie w purpurze, jak pożary,
Co zdobywcą idą kłęską,
W rozpuszczonych na wiatr szatach,
W dymów stalowej przyłbicy,
I ogniste swe sztandary,
Całe w róż płomiennych kwiatach,
Pod obłoki górą niosą, —
Co siadają jak motyle
Gorejące na wieżycy,
I w dzwon biją pieśń zwyciężką,
I jednoczą w dzikiej sile
Coś z rumaka stepowego,
Gdy się zerwie z uździenicy,
I coś z nagłej błyskawicy,
Gdy z gromowej padnie chmury...

*

Nie w żelazie, jako wojna,
 Co z odkrytą piersią mężką,
 W łunach cała, w ręku z kosą,
 Bohaterska i dostojna,
 Grzmi pobudką na armatach
 W takty serca młodzieńczego;
 Orłem płomiennym się zrywa,
 Jak przeczenie praw natury,
 I jak meteor przelata
 Po-nad okęgami świata,
 I okropność nawet swoją
 Szeleszczącą sławy zbroją,
 I błyskami swej purpury
 Przed oczyma nam zakrywa...
 Nie jak mór, w bólach wybladły,
 Co tragicznym swym oddechem
 Zieje, nie patrząc na kogo,
 I straszliwie prostą drogą
 Z beznamiętnym mknie pospiechem,
 Śmiertelnemi prześcieradły
 Owijając nam stolice;
 Co skrzydłami nietoperza
 W marmurowy gmach uderza,
 Rozsypując go w kostnice;
 Co za sobą żgła swe wlecze,
 I mogilnym tchnie powiewem,
 Depcąc nagie, drżące serca;

Co napada, jak morderca,
 I obraca w piersiach miecze
 Pełne jadu, pełne trądu;
 I goreje jak pochodnia,
 Zażęgnięta bożym gniewem;
 I za pierś chwyta przechodnia,
 Bez wyroku, i bez sądu...
 Ale nędzny, szpetny, siny,
 Owinięty w mgieł łachmany,
 Chyłkiem pełznąc po-przez pole
 Najuboższej gdzieś krainy,
 Kędy bladzi wyrobnicy
 Noszą, od dnia urodzenia,
 Aż do ostatniego tchnienia,
 Kainowy znak: „niedola“, —
 Zdawna już przepowiadany
 Przeczucie ludu smętnem echem,
 Łez strumieniem długich deszczy,
 Gradem, co jak prorok wieszczy
 Srebrne kłatwy ciska z nieba,
 Głuchym gromem nawałnicy,
 I pochodem zbrojnym wód,
 Głosem matek przeklinany,
 Własnym trawiąc się oddechem,
 Idzie bez kawałka chleba —
 Głód!

Wygaszoną z łez żrenicą
 Blaskom słońca naigrawa
 I odsłania swą prawicą
 Wszystkie nędze, wszystkie rany,
 I szept pokus rzuca w ciszę...
 I oskarża ziemię całą,
 Że dla żywych jest za małą,
 I przedstawia nam naturę,
 Jak mściwego ludom wroga,
 Co wypełnia krwawe prawa
 Bez litości, i bez Boga,
 I dowody swe ponure
 Tysiącami grobów pisze...
 Błędy, zbrodnie i wybuchy,
 Straty żywych sił narodu,
 Cofające ludzkość ruchy,
 Noszą czarny napis: „z głodu“!
 Myśl się przed nim cofa drżąca...
 Oto idzie rozłakniony,
 Depcąc pola i zagony
 Pod oczyma gwiazd i słońca...
 Gdyby jego mdłe wnętrzności
 Płodne były, bez litości
 Szarpałby swój własny płód...
 Już wyciąga dłoń swą siną...
 Biada! biada ci kraino!
 Głód!

Przeszłość i przyszłość.

Przeszłość, wielka pra-mogila,
 W której leżą ojców kości,
 Zapasowa ruchu siła,
 Utajony dech ludzkości;
 Skarbiec święty, skarbiec stary,
 Kędy wieki porzucały
 Zbroje swoje i sztandary,
 Hasła, barwy, ideały;
 Przeszłość, wielkie ludów zbrodnie,
 Bohaterów wielkie czyny,
 Zażegniete walk pochodnie,
 Uchłę wieńce i wawrzyny,
 Karty, ryte krwią i mordem,
 Rozszarpane burz zawieją,
 Skry skrzesane starym kordem,

Co nam dotąd dusze grzeją;
 Przeszłość, czarny kir żałoby,
 Nieśmiertelne hymny chwały,
 Cisza, która strzeże groby,
 Jak archanioł śmierci biały;
 Gorejące wspomnień znicze,
 Echo zwycięstw i rozpaczy,
 Talizmany tajemnicze
 Na wąpiącą pierś tułaczy...
 Przeszłość, pieśń, od której jeszcze
 Dziś chwytają ludy dreszcze,
 Pieśń ta, którą ideały
 Nad kołyską im śpiewały;
 Przeszłość, ołtarz i świątница;
 Przeszłość, przegierz, kaźń, niesława;
 Przeszłość, życia tajemnica,
 Co z popiołów zmartwychwstawa...
 Oto budzi się i dyszy,
 Obejmuje świat w ramiona
 I krzywd dawnych mści się w ciszy,
 Aż zostanie odkupiona.
 Przeszłość, dramat, w którym dzieje
 Wywołują mar gromady...
 Tłum się trwoży, wzrusza, śmieje,
 Lecz myśliciel patrzy błądy.

* * *

Przyszłość, jutrznia zróżniona,
 Świt błękitny, świt daleki,
 Do którego wszystkie wieki
 Wyciągają swe ramiona;
 Czyn zwinięty, jak w zawiązku,
 W tajemniczym myśli kwiecie;
 Prąd, co ruchy budzi w świecie,
 Wznosząc sztandar obowiązku;
 Sny narodów, ludów hasła,
 Zapał walki, klęsk pociecha,
 Wiara ziemi niewygasła,
 Co z błękitów się uśmiecha;
 Zagon żyzny, zlany potem
 Tych szlachetnych, co go orzą,
 Zasiewany ziarnem złotem —
 Prawdą jasną, prawdą bożą;
 Nieugięta, niecofniona,
 Nieodmienna, idzie, cicha;
 Szermierz, walcząc o nią, kona,
 Ale ludzkość nią oddycha.

* * *

I cóż łączy te dwa światy,
 Jak ogniwa dwa łańcucha — ?
 Teraźniejszość, ptak skrzydlaty,
 Myśl, czyn, słowo, technienie ducha.

Odpowiedź.

O! nie, poeto! *dziś* nie jest bladem
Widmem, stojącym wśród zmierzchów bez końca;
Ono wre życiem i nosi dyadem

Z łez ludów i z błysków słońca.

I nie jest żadną luźną chwilą w dziejach:
Przeszłość je w bólach duchownych zrodziła,
A w wielkich, jasnych przyszłości nadziejach

Tkwi jego młodzieńcza siła.

Oto je widzę: potężne w porywach,
Naprzód podane, stanowczy krok waży...
Nie wiem, czy starych odbiegnie ołtarzy,

Nie wiem, gdzie nowa zawiedzie je droga,
Lecz wiem, że w wiecznych następstwa ogniach
Przerwy nie będzie... że ludzkość nie stanie,
Na żadne klątwy i żadne wołanie,

Aż znajdzie prawdę — i Boga.

* * *

O! nie, poeto, krew nasza nie skrzepła,
Pierś nie zastygła w westchnieniu ostatniem...

My — przy ognisku i światła, i ciepła,
Sercem dzielimy się bratniem.

Jeśli myśliciel nie marzy o niebie,
Patrząc bezczynnie w błękitne sklepienie;
Goręcej za to, i już nie dla siebie,

Zdobywa wielkie zbawienie.

Zapał ludzkości pod równą wre miarą,
Lecz różne jego są ujścia dziejowe:
Niegdyś miał imię: „wyprawy krzyżowe“

Był hymnem ludów i wiarą.

Dziś — to duch badań, który myśliciela
Czyni potężnym zwycięzcą przyrody,
I wielkie prawdy zdobywa i wciela
W idące na przód narody.

* * *

O! nie, poeto! młodość nie druzgota
Bóztw białych w wielkiej świątyni ludzkości,
A jej modlitwą jest święta tęsknota,

Co duchy prze ku przyszłości.

W weselnej szacie, jak niegdyś, za Greków,
Amforę życia wychyla radosną,
Jest zawsze ziemi poezją i wiosną
Posiewem światła dla wieków.

Nie! żadna chwila w czasie nie marnieje:
Z tchnień — duchów, epok budują się zręby;
A z nasion, które ręka nasza sieje,

Wzrosną nie róże, lecz — dęby!

Więc się nie pytaj, o poeto chmurny,
Jakie *dziś jutru* pozostawi dary?

Wierz tym, co, zamiast z popiołami urny,
Niosą w pochodzie — sztandary!

Fragment.

Nie, to nie była grecka kolumnada,
Z której kaskadą jasność dzienna spada,
W jońskich żłobieniach gubiąc swe opale;
Słońce nie drżało, jak djament stopiony,
Strzał złotych w błękit miotając miljony,
I kąpiąc czoło w powietrza kryształ; —
O rzeźbę brzegów nie biło tam morze,
Jak wino Cypru, zamknięte w amforze,
Co , szumiąc, w perły rozpryskuje fale.

* * *

Nie, tam nie rządził Zeno, ani Hero,
Ni cały Olimp, jedno wielkie zero,
Co na płacz ludzki oczy ma kamienne...
Nikt tam nie wołał wielkim, głośnym krzykiem:
„Niesprawiedliwość!“ — i nikt niewolnikiem
Nie przyszedł na świat, klnąc jasności dzieńne...

Pogańskich mędrców nie było tam zgoła,
 Coby sofizmem zaćmiewali czoła
 I ujarzmiali duchy przez pół senne...
 Nikt na marmurze białym targowicy
 Nie stawiał jeńcem męża ni dziewicy
 Z wpół obnażonem, drżącym hańbą łonem...
 Nikt nie rozdzielał matki z jej dzieciną,
 Nikt na twarz starca, pomarszczoną, siną;
 Nie pluł z cynikiem Xenem, ni Milonem...

* * *

Nie, to nie były owe ciemne wieki,
 W których bez Boga i prawa opieki
 Ludzkość błądziła, krwią znacząc swe ślady...
 Nie, to nie były te wieki zatrute,
 Co mędrcom swoim dawały cykutę,
 Nędznych helotów mnożąc zastęp błady...
 Tam nie radzili wielcy myśliciele, *)
 By niewolników piętnować na czele,
 Z byłem u rzeki pojąc ich gromady.

* * *

Nikt tam za okup wolności bliźniego
 Nie wziąłby miny złota ateńskiego,

*) Xenofont.

By ją heterze rzucić na wonności...
 To był świat inny — chrześcijański, nowy,
 Co barbarzyństwa zrzuciwszy okowy,
 Wiele i głośno mówił o wolności...
 Stawiał świątynie, czczył Boga, kapłany,
 Mnogie ustawy kreślił zadumany,
 Prócz jednej tylko — ustawy miłości!

* * *

Miał pyszne grody, pałace wspaniałe,
 Zielone parki i muzea białe,
 Gdzie grecka piękność skamieniała stoi...
 Miał pełne gwaru i ciżby stolice,
 Świetne salony, bogate dzielnice
 I tłum, który się echem szczęścia poi...
 Miał praw spisanych wielkie, grube tomy,
 Nowe idee i postęp widomy...
 I klucz od wielkich tajemnic podwoi...

* * *

Miał brzmiące hasła i cenne sztandary
 Miłości bratniej, pokoju, ofiary;
 To był świat ludzki, chrześcijański, nowy...
 Tylko były tam całe tłumy ciemne,
 Życia bez jutra, wysiłki daremne,
 I pochylone od zwątpienia głowy...

* * *

Tylko tam były smutne, blade twarze,
 Ręce bez pracy — bez bóstwa ołtarze,
 Piersi gryzione tajnych buntów jadem...
 Tylko nie wszystkim świeciło tam słońce,
 I tylko nędzarz ramiona mdlejące
 Łamał w milczeniu po nad czołem bladym...

* * *

Tylko nie wszystkich nakarmił chleb ziemi,
 I źródła wiedzy wodami żywymi
 Nie wszystkie usta poiły spragnione...
 Tylko tam były ubogie poddasza,
 Gdzie śmierć nikogo z nędznych nie przestrasza,
 Bo życie nosi cierniową koronę...

* * *

Tylko krwią ludów spłynęły tam rzeki,
 I tylko w błyskach leciały tam wieki,
 Jako zmacona łez ludzkich kaskada...
 Lecz świat był ludzki, chrześcijański, nowy,
 I dawno rzucił pogaństwa okowy...
 Nie — to nie była grecka kolumnada!

Gdzie jest mój dom?

Gdzie jest mój dom? czy tam, gdzie marzeń roje
 Budują świat z mgły ułud, z pieśni czaru;
 Gdzie lube sny kołyszą serce moje,
 Gdzie poi mnie szumiący źródło nektaru?
 Czy tam, gdzie czyn w żelaznej ma prawicy
 Pochodnię zórz i wieków ciężkie wagi...
 I świeci w dzień ogniskiem swej źrenicy,
 A w ciemną noc dobywa miecz swój nagi?

* * *

Gdzie jest mój dom?... czy tam, gdzie smutek cichy
 W przestrzeni drży, jak skarga konająca...
 Gdzie srebrne łzy padają w róż kielichy,
 Gdzie nocom gwiazd, porankom braknie słońca?..
 Czy tam, gdzie ból, krwawiący świat przez wieki,

*

I wszystek trud, i wszystkie hasła boju,
W stłumiony krzyk zlewają się daleki,
I płoszą sny widmami niepokoju?..

* * *

Czy tam mój dom, gdzie stoją białe trony
Wieczystych prawd, wśród ciszy majestatu,
Królując nam bez berła i korony,
I pchnięciem w ruch rozkazy dając światu?
Czy tam mój dom, gdzie źródła wiedzy płyną,
I w ludów krew wlewają żywe prądy?
Gdzie w szary świt zdobywcy słońca giną,
Wpatrzeni w wschód, zkad wstają nowe lądy?

* * *

Gdzie jest mój dom? czy tam gdzie silni stoją,
Zgromiwszy lwa w swej piersi walką mężką?
Czy tam gdzie ci, co drżąc się niepokoją
Przed chwilą burz bolesną — choć zwyciężką?

* * *

Czy tam, gdzie szal otwiera swe ramiona,
Płomiennych fal czarując upojeniem...
Gdzie burzą tchnień rozkoszy drga zasłona,
Gdzie życie jest i czarą — i pragnieniem?
Czy raczej tam, gdzie duchy, jak gołębie,
Białością piór zlewają się promienne...

Gdzie smętny wzrok zapada w tęsknot głębie,
Myśl budzi się — a żądze milkną senne?..

* * *

W błękitną dal wędrowny ptak odlata...
W głębinę wód samotna łódź wypływa...
Ach! mamże ja tak zawsze w pośród świata
Zbłąkana żyć, jak cień, co nie spoczywa?
Gdzie prawda ta, co chwyta bez podziału?
Gdzie przystań jest dla wszystkich walk i trudów?
Ach! gdzie jest cel, krwi godny i zapału,
I życia chwil, i wielkich dążeń ludów?
W skarb drogi swój swe serce człowiek wkłada,
Jednocząc w nim żądz swoich niepokoje;
Jaż tylko mam z przestrachem pytać blada:
Gdzie jest mój dom? ach! gdzie jest wszystko
[moje?..

* * *

Idę — i drzę — i wracam przerażona,
I obcy świat otacza mnie dokoła...
Ach! gdzież jest dłoń przyjaźnie wyciągniona?
Gdzie drogi głos, co na mnie: „pójdź!” zawoła?
Gdzież skłonię skroń? ach! gdzież ja się ukoję?
Gdzie płynąć dam tym wstrzymywanym łzom?
Gdzie jest mój skarb? ach, gdzie jest gniazdo moje?
Gdzie jest mój dom?!

Nie dziw się!

Ty mi się nie dziw, że ja się wciąż pytam,
I rzucam: „czemu?“ w przestrzenie błękitu...
Wszak odpowiedzi nikt mi nie dał jeszcze.
Idę — i słucham — i w próżni tej chwytam
Jakieś przebłyśki dalekiego świtu,
I jakieś hasła, jakieś wróżby wieszczce...
Lecz to są tylko echa — i westchnienia,
I starcia myśli nagłe błyskawice,
Okrzyki zgrozy bładzających wśród cienia,
Łkania — i skargi — i bluźnierstw wybuchy
Na bezlitosną życia tajemnicę,
Od której konają duchy...

* * *

Ty mi się nie dziw! któż z nas, co dziś żyją,
Może zasypiać spokojny i cichy,

Jak te powoju dziennego kielichy,
 Które łez rosy nie piją?
 I tak się zwinąć, jak one, przed cieniem,
 I nigdy, nigdy nie przebić spojrzeniem
 Tej tajemniczej, gwiazdzistej zasłony,
 Która drży w ręku Boga od serc bicia,
 Z jakim się do niej zbliżają miliony
 Namiętnych duchów, co idą przebojem,
 Za żądzę swej niepokojem
 I nie chcą — bez walki życia!

* * *

Ty mi się nie dziw! — ja jestem dziecięciem
 Wieku, co wyrzekł, że gdyby mu dano
 Prawdę, jak gwiazdę jaśniejącą cudem,
 Ot tak, gotową, zdjętą prosto z nieba,
 Prawdę, krwią jego serca nie oblaną,
 I nie zdobytą potem, ani łzami;
 Onby ją rzucił. .. bo jemu potrzeba
 Iść — i zdobywać, i łamać się z trudem,
 Zdumiewać światy śmiałem przedsięwzięciem,
 Cofać się — padać — powstawać na nowo,
 Drogi swe znaczyć krwawemi śladami,
 Konać z tęsknoty, czekając na słowo,
 Które ma kiedyś z ust całej ludzkości
 Dać nazwę światom przyszłości.

* * *

Ty mi się nie dziw! — ja idę w pomroce
 Zwątpień, któremi trużą się dziś duchy...
 Zdala gdzieś — nikły promyczek migoce,
 Lecz wokoło mnie lecą huragany
 Tehnień niespokojnych, które w samo słońce
 Ciskają strzały swoje pałające,
 Zdając się wołać: „zdmuchnę — potem stworzę.“
 Ach! od tehnień takich, światelko to boże
 Drży — i przygasa, jak płomyk, wydany
 Bez żadnych osłon na wiatru podmuchy...
 I trzeba wiele wytrwania i siły,
 Żeby je w piersiach jak w lampie z kryształu,
 Zamknąć — i iść tak w łunach ideału,
 Aż do nieznanej mogiły.

* * *

Ty mi się nie dziw! ja stoje na ziemi,
 Po której idą tłumami smutnemi
 Ludzie, których ja braćmi memi zowie...
 Stoje — i patrzę — i płaczę nad niemi,
 I gdybym była Bogiem, to każdemu
 Dałabym spokój, i światło, i zdrowie.
 I myśląc o tej wieczystej wszechmocy,
 Którą mi wiara wskazuje w błękicie,
 I o tej nędzy, i o łzach tajemnych,
 O tych stęsknionych — i smutnych — i sennych,
 Dla których śmiercią jest życie;

Gubię się w pełnej przerażenia nocy,
I pytam namiętnie: czemu?

* * *

Ty mi się nie dziw! Co dziś nie zachwiane?
Co wiecznie pewne? niezłomnie prawdziwe?
Ach! gdybyś wiedział, jak drży serce żywe,
Gdy je w dwie strony targają zwątpienia!
I gdybyś wiedział, jaką krwawą ranę
W piersiach swych mają ci bladzi badacze,
Którzy się w nędzy własnego istnienia
Grzebią, jak w ziemi na-pół ślepe krety!
Ach! gdybyś wiedział, jak serce im płacze,
Gdy idą, jako złowróźbne komety,
Przez lud, nad którym świecą, przeklinane,
Zawsze samotni — i zawsze tułacze,
Odarci z uciech, a nieraz i — z cześci!..
I gdybyś wiedział, ile jest boleści,
I ile żądał — i jadu gorzkiego,
Ile pocucia nędzy i niemocy,
W tem jednym słowie: „dla czego?“
Gdy się je rzuca wśród bezsennej nocy
W niebo, co w gwiazd swych srebrzystej po-
[świacie

Stoi nad ziemią, w cichym majestacie,
Jak badań otwarta droga;
Tobys mógł płakać nad dolą człowieka,

Który z śmiertelną trwogą i goryczą
Słowo to straszne wyrzeka,
I, w nieskończoność patrząc tajemniczą,
O losy ziemi śmie pytać się — Boga!

Fragment.

O wiosno! gdzie ty gubisz swoje kwiaty?
I jaki wicher skrzydłami płowemi
Chwyta ich listki, i wleczę po ziemi
 Królewskie róż twych szkarłaty?
Gdzie twych poranków blaski djamentowe
Gasną? i w jakie rozwiewa się cienie
Wieczorna zorza, co na twoją głowę
 Kładzie koronę — marzenie?
Od jakich żarów rosy twoje białe
Tają, jak perły w morzu konające?
Na czem ty łamiesz brylantową strzałę,
 Którą posyła ci słońce?
Gdzie przepadają mgły twe tajemnicze,
I blade róże wschodzącej jutrzeńki?
Od czego mdleją paki twe dziewicze,
 Za nim rozwiną swe wdzięki?

O wiosno! w blaskach i uśmiechach cała,
 Co na skapane w łzach upału tęcze
 Zarzucaś skrzydła lekkie i młodzieńcze,
 Jak gdybyś w niebo leciała;
 I coraz szersze dnia robiąc zdobycze
 Na wschód i zachód słonecznej krainy,
 Światła pochodnię wnosisz w tajemnicze
 Srebrzystej nocy dziedziny;
 O wiosno! czemu tęcze twoje gasną,
 Skrzydła się łamią i ciężą ku ziemi?
 I czemu zmierzchy ustami chłodnemi
 Zdmuchują zdobycz twą jasną?
 Czemu słowicze pieśni twoje mdleją?
 Czemu wód twoich wysychają czary?
 Czemu, nazwana: „miłością“ — „nadzieją“,
 Dotrzymać nie umiesz wiary? —

* * *

O serce ludzkie! gdzie są upojenia
 Młodych porywów twoich i tęsknoty?
 Gdzie wielkie czyny słabego ramienia?
 Gdzie wielkich rojeń plan złoty?
 Gdzie świeżość nczuć twoich porankowa?
 Gdzie dążeń, celów twoich ideały?
 Gdzie zapał, którym uskrzydłone słowa
 Pieśni twej w niebo leciały?

Gdzie twoje siły, energii twej summa?
 Gdzie sny twe ciche, dziewicze, niebieskie?
 Gdzie nieskalana czoła twego duma,
 Twoje ubóstwo królewskie? —
 Gdzie ukochanie twoje wszechpiękności?
 Cześć dla wszystkiego, co wzniosłe, co święte?
 Gdzie są twe barwy, szermierzu ludzkości,
 W walce o przyszłość podjęte? —
 Gdzie głębia rwąca i świeżość tych prądów,
 Które rzeźwiły brzeg suchy, omdlały?
 Gdzie orle tęcze hipotez i sądów,
 Co niebo z ziemią wiązały? —
 Gdzie przedumaney nocy urok cichy,
 Co ci bezsenne otwierał powieki?
 I gdzie są ducha upojen kielichy,
 Kipiące życiem na wieki?
 Zapał młodzieńczy do wiedzy, do pracy,
 Gdzie złamał wzlotów swych potężnych skrzydła?
 I w jakich mroków pochwyceni siłą,
 Milkniecie, świtu śpiewacy? —

* * *

Młodości bujna! o wiosno ty ziemi!
 Co pokolenie, świat wzmaga swe tętą
 I, oddychając piersiami pełnemi,
 Ludzkość rozbudza się smętą...

Czemuż jej nie dasz tak potężnych ruchów,
 Tyle wytrwania, i żaru, i siły,
 Żeby, chwyciwszy się młodzieńczych duchów,
 Zmartwychpowstała z mogiły?
 Czemu ty sama, o zorzo dziejowa,
 W mgle powszedniości przygaszona perło,
 Jak z tronu swego zepchnięta królowa,
 Łamiesz o życie swe berło? —

Czy warto?

I cóż z tego, że genjusze
 Nieśmiertelne dzieła tworzą?
 Że myśliciel swoją duszę
 Na świątynię zmienia bożą?
 I cóż z tego, że w tęsknocie
 Do wieczystej prawdy źrójów
 Duchy, pełne niepokojów,
 Jako orły rwą się w locie?
 I cóż z tego, że przestrzenie
 Światła, ciszy, i błękitów,
 Myśl, słonecznych pełna świtów,
 Ukochała nieskończenie?
 I cóż z tego, że są duchy,
 Co się trawią własnym żarem;
 Póki świat dźwiga łańcuchy,
 I w bezprawiu tonie starem?..

Że wskroś wieków, jak kometa,
 Gorejąca myśl przelata?
 Że duchowy gdzieś atleta
 Podwaliny wstrząsa świata?...
 Że jest serce, które płacze
 Nad niedolą wieku swego?
 Że są ścieżki, gdzie tułacze
 Idą smutni?... i cóż z tego?

* * *

Wszak na ziemi, tu wśród tłumu,
 Co pięściami się rozpycha,
 Wśród zamętu, krzyku, szumu,
 Gdzie sto żądź na raz oddycha,
 Ani jedno próżne słowo
 Na warg brzegu nie zastygnie;
 Ani jedna myśl w malignie
 Nie zbudzi się świeżą, zdrową;
 Ani jeden uśmiech pusty
 Nie powstydzi się, że lata,
 Różowemi tchnięty usty,
 Nad ogromem nędzy świata;
 Ani jeden strój balowy
 Nie zużyje mniej krwawicy;
 Ani jeden kwiatek z głowy
 Nie wypadnie tanecznicy;

An jedna wina czara
 Nie drgnie w dłoni biesiadnika;
 Samolubna żądza dzika
 Nie wymówi: „czyn, ofiara“;
 Ani jedna pierś zamarła
 Ogniem ducha nie zapłonie;
 Ani jedna wielkość karła
 Nie zachwieje się na tronie...
 Tłumu śmiechy i oklaski
 Nie ominą arlekina,
 Gdy wieczornych zórz godzina
 Z wstydu gasi swoje blaski...
 Ani jeden duch służalczy
 Nie podniesie zgiętej skroni,
 I nie rzuci ten, co walczy
 O garść złota, nędznej broni...
 Żadna podłość, żadna zdrada,
 Żadna hańba, co się ima
 Mroków nocy, drżąca, blada,
 Nad przepaścią się nie wstrzyma!..

* * *

Ach! gdy wszelka rana ziemi
 Bez ratunku jest otwartą,
 Płakać łzami gorącemi,
 Tęsknić, konać, czyż to warto?

*

Nie skarż się.

Nie skarż się, bracie! żadna grudka ziemi,
Którą ocean skrzydłami srebrnymi
Lotnych fal swoich od brzegu odbije,
Nie ginie marnie... żadne piasku ziarno,
Lecące w otchłań straszliwą i czarną,
Gdzie miljon cudów i przerażeń żyje,
Nie jest straconem... Przyrody potęga,
Gdy wód i ognia ścierają się prądy,
Łamie kryształy, do dna morza sięga,
I z tych atomów dźwiga nowe lądy.

* * *

Nie skarż się bracie! żadna kropla rosy,
Co rankiem pada na łąki i wrzosa
I w brylantowe dyademy stroi
Główki róż dzikich i białych powoi
Nie traci bytu, choć taje, mdlejąca
Od pocałunków płomiennego słońca...

Ta sama kropla, ukryta w obłoku,
W twarz ci gdzieś prysnie u białej kaskady,
Albo uprządzie dla mgły rąbek blady,
Albo w najdroższem tobie błysnie oku!...

* * *

Nie skarż się! iskra, co gasnąc ulata,
Jak duch zdmuchnięty w wysiłku daremnym,
O atom światła nie zuboży świata,
Choć zniknie w zmierzchu tajemnym...
Ta sama iskra, tchnięta gromem słowa,
Przebiegnie ogniem przez wzruszone tłumy,
Lub, jako strzała burzy piorunowa,
Rozwali prastare tummy. —

* * *

Nie skarż się bracie! ostatnie westchnienie,
Które bez jęku, bez szmeru, bez skargi,
Rozchyła blade konające wargi,
Nie leci w nicość i w wieczne milczenie...
Ono się zbudzi, jak wichur nawalny,
Co łamie maszty i żagle napręża...
Lub jako okrzyk ludów tryumfalny,
Gdy sprawiedliwości zwycięża

* * *

Sił swoich nigdy nie roni przyroda,
Ale je w wiecznym utrzymuje ruchu,
I w tajemniczym istnienia łańcuchu
Nic ich nie ujmie, i nic ich nie doda...
Choćby ocean podniósł się w błękity,
Choćby na ziemię spadła mleczna droga;
Zawsze pierwiastek bytu niespożyty
Obejmie sobą myśl Boga. —

* * *

Nie skarż się, bracie! choć ducha szermierze
Padają w walce, przez ciżbę zdeptani,
Wieczne ludzkości z postępem przymierze
Nie zginie w mrocznej zwątpienia otchłani.
Ideal jasny, ideal promienny,
Coraz wyższego i szerszego ruchu,
Choć w formie zjawisk wydaje się zmienny,
Trwa wiecznie w prawdzie i w duchu.

* * *

Nie skarż się, bracie! choć w dzieje wpatrzony
Widzisz krew tylko, i hańbę, i rany;
Cel, dla którego pracują miliony,
W drobnych ułamkach zaledwie nam znany.
Co tracą wieki, nie zawsze jest strata:
Z ciemnic więzienia, ze stosów męczeństwa,
Myśl ulatuje żywą i skrzydłą,
By śpiewać hymny zwycięstwa.

* * *

Nie skarż się! alboż wiedzieć jesteś w stanie,
 Gdzie dziś kiełkuje siew, z przed lat tysiąca,
 I jakim kwiatem wspaniałym powstanie
 W jutrzennych promieniach słońca?
 Jaka ożywcza i płodna potęga
 Zamierzchłej pracy wiek nowy zasiała?
 I gdzie lecąca z ust oddechem, chwila,
 W potężnych skutkach swych sięga?

* * *

Duch dąży w światła dziedziny przyszłości,
 I w ruchy swoje wciela niewidomie
 Żywą energję walczącej ludzkości,
 W całym jej różnic ogromie.
 Z promiennej jego, choć krwawej, zdobyczy,
 Nic nie przepada i nic nie zaginie;
 Jest myśl, co każdy wysiłek policzy
 Wielkiej tryumfu godzinie.

Fragment.

Wielki ty jesteś, serc królu, poeto!
 Co wstrząsasz myśli, uczucia i wolę,
 I na błyskawic pełnem nosisz czoło
 Znamię geniusza, który jest kometa
 Na ciemnem wieków i narodów niebie...
 Wielki ty jesteś, cześć ciebie!
 Pieśń twa potężna, szeroka, natchniona,
 Grzmi wpośród tłumów zdumionych milczenia,
 I poi rosą ginących z pragnienia,
 I chlebem jest dla miljona,
 I jak krew wrząca przelewa się w żyły,
 I nieśmiertelna jest, i bez mogiły.
 Komu raz dłoń twa na czoło położy
 Ognistą pieczęć hańby, lub wielkości,
 Stoi przez wieki całe wśród ludzkości,

Rozbudza zapał, unosi, lub trwoży.
 Tyś król: gdy skiniesz berłem brylantowem,
 Ziemia drży, ludy dzielą się twem słowem.
 Piękności wiecznej jesteś poślubiony;
 Tłum lekkich duchów służyć ci przylata;
 Świat nowy stwarzasz wśród starego świata;
 Strącasz w przepaście, i rozdajesz trony...
 I jesteś, jako pomnik twojej ziemi,
 Który Bóg wykuł rękoma własnymi.

* * *

Lecz większy jesteś ty, o myślicielu,
 Co głosisz prawdy odwiecznej ustawy,
 I idziesz cichy, samotny, bez sławy,
 Do nieznanego dla współczesnych celu,
 I widzisz ruchy tajemnicze wieku...

Tyś większy! cześć ci, człowieku!
 Słowo twe ciche drzeć sercom nie każe,
 Ni łez wylewać, ni wzdychać z nałogu;
 Lecz jest, jak owe najświętsze ołtarze,

Przy których duch służy Bogu.
 I jest jak jasne, djamentowe miecze,
 Rozcinające w głąb piersi człowiecze.
 Cóż tobie tłumy? ich oklask, ich wrzawa,
 Namiętnych wzruszeń wybuchy i szale?
 Tryumf twój cichy bywa, jak te prawa,
 Co niewiedomie obejmują cały

Wszecławiat bez walki, zemsty i miłości,
 I są przyrody duszą i ludzkości.
 Cóż tobie tłumy? czy, prawda poznana
 Większą jest prawdą? czy, gdyby przed progiem
 Białej świątyni nikt nie zgiał kolana,
 Bóg przestał - by się zwać Bogiem?
 Czy nieskończoność, zaślubiając ducha,
 Liczy, kto patrzy na nią, kto jej słucha?
 Zamknięty w ścianach swej cichej komnaty,
 Sam - na - sam z myślą, co światy obiega,
 Uniesień swoich nie nosisz, jak szaty
 Jaskrawej, co tłum podżega;
 Ale dumania twe i łzy zachwytu

Noc tylko widzi oczyma z błękitu...
 Lecz kiedy duch twój samotny, daleki
 Od czczego tłumu, iskrę skrzese z siebie,
 Jaśniej, słoneczniej robi się na niebie,

I cichsze przychodzą wieki...
 I ludzkość czuje, że jej coś przybyło,
 I na przód idzie z podwojoną siłą.
 Królestwo twoje nie jest z tego świata;
 Do twego szczęścia nie trzeba ci zgola
 Oklasków tłumu; a twoja zapłata,

To wieczna pogoda czoła.
 Krwi, co ci z serca wytryska gorącej
 Ty nie sprzedajesz, krzycząc: „kto da więcej“?

* * *

Ktokolwiek wstąpił bez łez i bez drzenia
 Na beznamiętne, błękitne wyżyny,
 Kędy się waży wieczny punkt ciężenia,
 A nieodzowne i płodne przyczyny
 W nieskończoności tkwią, jako kotwice,
 Rzucone w przepaść, w zmrok i tajemnice;
 Ten wie, jak można uczuć się spokojnym,
 Czystym, i cichym, i blizkim wieczności,
 I zapatrzonym w światło, i dostojnym,

I przodującym ludzkości.

Któż z tych, co kiedyś dosięgli tych szczytów,
 Nie zna Keplera modlitw i zachwytów?
 O! nieśmiertelny prawdy oblubieńcze!
 Duchu, co niczem ziemskim, ni znikomem
 Nie gasisz żądz swych, lecz wpatrzony w tęczę
 Słonecznych światów, rośniesz ich ogromem,
 I wzlatasz, po-nad serc bicie i drzenie,
 Tam, gdzie jest prawda, Bóg, ty i milczenie!
 O duchu! czyż się nie czujesz czemś świętszem,
 Czemś innym, wyższem nad tłum, co się wzrusza?
 Czyż ukochaniem światła najgorętszem

Nie potężnieje twa dusza?

Czyż nie jest większym umysł, co docieka
 Prawdy, od wieszczą, niemal od człowieka?

* * *

Pieśni potęga tłum wrzący porywa
 Do tych poziomów, gdzie pieśniarz przebywa,

I wieść go może od światła do cienia,
 Od bohaterstwa aż do upodlenia.
 Może palącym żarem swych pochodni
 Obudzić zapał do cnoty, lub zbrodni.
 Bo fałsz tak wielkim, jak prawda, być może;
 A tłumy wszystko, co wielkie, porusza,
 I drzeć im każe... więc, jeśli twa dusza,
 Poeto, nie jest, jak naczynie boże,
 W którym kosztowna perła jest zamkniętą;
 Pieśń twa być może wielką, a przekłętą!
 Lecz myśl badacza jest, jak struna drżąca,
 Rozpiętą między przyrodą a duchem,
 Którą bieg przyczyn i skutków potrąca
 Wieczystym skrzydeł swych ruchem...
 Jej droga pewną jest, jak słońca droga;
 Co w niej istnieje, istnieje u Boga.
 Obcą jej walka namiętna, burzliwa,
 Prawd względnych, duchów złamanych na poły;
 Ona konieczną siłą, jak żywioły,
 Wiąże swych wniosków ogniwa,
 I urojoną nie płacze żałobą,
 I rzeczywistość swą ma po-za sobą.

* * *

Poeta, daje brylanty, i kwiaty;
 Łzy, i uśmiechy rozrzuca ludzkości...
 Ale myśliciel odkrywa jej światy
 I nowe drogi przyszłości.

Z poetą serce nasze się sprzymierza,
 Nasze zachwyty i nasze boleści;
 Ale myśliciel nigdy nas nie pieści,
 Lecz, jak konieczność uderza...
 Poetów miały ludy już gasnące,
 Co w lutnią technię ostatnie przelały;
 Lecz myślicieli rodzi nowe słońce
 I pełne sił ideały.
 Poeta wschodzi, jak kwiat, który sieje
 Wiosenny ranek na łące, nad strugą...
 Ale myśliciel jest krwawą dosługą
 Narodu, co zna swe dzieje.

* * *

Módl się więc, smutny i stojący w cieniu,
 W koronie blasków zgaszonych, narodzie!
 Niechaj pieśń wielka poi cię w pragnieniu,
 A myśl niech karmi cię w głodzie!

Do kobiety.

Czy wiesz, ty piękna i ty uśmiechniona,
 Której usteczka rozchyła pustota,
 Co znaczy: „kocham“ to najświętsze słowo,
 Co pada z piersi, jako strzała złota,
 I, jak królewskiej purpury zasłona,
 Oddziela ciebie, wzruszeniem różową,
 I drzącą snami szczęścia dziewczemą,
 Od wszystkich ludzi na całej tej ziemi,
 Byś otworzyła jednemu ramiona?

* * *

Czy wiesz ty o tem, motylu i kwiecie,
 Poranków wiosny ty śpiewna ptaszyno,
 Że ta godzina, w której usta twoje
 Szepcą to słowo, jest cudów godziną?

Że wtedy jasno robi się na świecie,
 Że srebrem biją wszystkie żywe zdroje,
 Że róże w pąkach płoną się wiosenne,
 Że dziwne mary, rozwiewne i senne,
 Ciałem się stają pod drzącą twą dłonią?
 Że w twej żrenicy, jako w pryzmie słońce
 Życie odbija blasków swych tysiące,
 I załamuje promień brylantowy?..
 Że noc koronę srebrną swojej głowy
 U stóp twych w chłodnych rozsypuje rosach?
 Że twem wzruszeniem drżą gwiazdy w niebiosach?

* * *

Czy wiesz ty o tem, że słowo to ciebie
 Czyni kapłanką przezczystych ołtarzy?
 Że to uczucie, co łuny dziewicze
 Rzuca na białość liljową twej twarzy,
 I djamentową skrå w oku wybłyska,
 Nie tylko szczęściem jest, lecz złotą wagą,
 Co byt wszechświata utrzymuje w ruchu;
 Pierwszem żarzewiem wielkiego ogniska,
 Co świat ogarnia blaskami swojemi,
 Pierwszem ogniwem w stworzenia łańcuchu?
 Czy wiesz, że, kiedy zmierzchy tajemnicze
 Wydały kształty młodzieńcze tej ziemi,
 Co stała jeszcze wśród chaosu nagą;

Najpierwszem słowem, jakie Bóg na niebie
 Rzekł do niej, było słowo: „kocham ciebie“!

* * *

Posłuchaj! „kocham“ to nie znaczy wcale:
 „Chcę być pieszczoną w twym domu królową;
 Chcę iść przez życie drogą kwieciami słaną;
 Chcę w pocałunków twoich tonąć szale;
 Chcę, by mi słońko świeciło co rano;
 Chcę, by co wieczór lampę djamentową
 Srebrzysty księżyc palił mi nad głową;
 Chcę, byś dzień cały mojego szczebiotu
 Słuchał; i zawsze witał mię uśmiechem;
 Chcę, byś mi pieśni śpiewał wraz z słowikiem;
 Chcę żyć z twej pracy i z twojego potu;
 Chcę, byś był moim cieniem, mojem echem,
 Odpowiedzialnym za mnie niewolnikiem...

* * *

Nie! „kocham ciebie!“ to znaczy, chcę z tobą
 Podźwignąć ciężar, co się życiem zowie,
 Być domu twego światłem i ozdobą
 I nieść ci pokój, i ciszę, i zdrowie.
 „Kocham“ to znaczy: twoje ideały
 I twoje cele są także mojemi;
 Pracujmy razem, by rozświt dnia biały
 Prędzej rozbłysnął na ziemi!

Chcę, by mą drogą była twoja droga,
 Mojem pragnieniem były twe pragnienia;
 Chcę, byś był głosem mojego sumienia,

I wiódł mnie z sobą do Boga.

Chcę, byśmy, lecąc w uścisku wzajemnym,
 Jako dwa duchy, w dziedzinę wieczności,
 Rozpromienili na świecie tym ciemnym

Gwiazdziste szlaki przyszłości.

Chcę przez twą wiedzę mój umysł rozszerzyć,
 I słowo twoje chować, jak przysięgę;
 Chcę z tobą marzyć, i tęsknić, i wierzyć

W ducha niezłomną potęgę.

„Kocham“ to znaczy: chcę z tobą podzielić
 Gorzki chleb trudu, i łez, i boleści;

Chcę oczy twoje w dniach smutku weselić,
 I tarczą być twojej cześci.

Chcę na twych piersiach być, jak róża biała,
 W której płomyczek tajemniczy pała,
 I chcę być, jako pieczęć rubinowa,

Na ustach twoich bez słowa.

„Kocham“ to znaczy, chcę w cichym zakątku,
 Żyć zapomniana, byleś ty był ze mną...

Chcę nad kołyską naszemu dzieciątku

Nucić piosenki w noc ciemną.

* * *

„Kocham cię“ znaczy: o wolny ty duchu!
 Ja nie chcę skrzydeł twych krepować jasnych,
 Przykuwać ciebie do trosk nędznych, ciasnych,
 Ciebie, coś przywykł na myśli podmuchu
 Wzlatać, jak orzeł, po najwyższych szczytach

I gniazdo zwijać w błękitach.

Ja nie chcę ciężyć tobie, jak kajdany,
 Wiazać cię z ziemią żelaznym łańcuchem;
 Chcę tylko, byś mnie uznał, ukochany,
 Bratnim, pokrewnym ci duchem.

„Kocham“ to znaczy: ja chcę być dla ciebie
 Prawdy, i dobra, i piękna zakłębem,
 Umiłowanem twej duszy dziecięciem,
 Twojem marzeniem o niebie.

Chcę domu twego być białym powojem,
 Twojemu czołu od skwarów ochroną;
 Chcę być twą myślą, i ramieniem twojem,
 I przyjacielem, i żoną.

* * *

Jeśli w twych piersiach, kobieto, nie bije
 Serce do takiej podniosłej miłości,
 Nie mów ty: „kocham“ nikomu na ziemi;
 Bo ten, co z tobą połączy... swą dołę,
 Patrząc na ciebie oczyma smutnemi,

Nigdy nie powie, że żyje,
 I duchem wrósłszy w poziomą niewolę,
 Nie zrobi nic dla przyszłości.

W zaduszny dzień.

Wy, co z zastygłą piersią i usty zimnemi,
Kłękacie dla zwyczaju na mogilnej ziemi,
Wy, co włóczycie senną istność swą po świecie,
Czy wy żyjecie?
Och! mnie nad wami chwyta płacz nientulony,
I modlić — bym się chciała, i kazać bić w dzwony,
I załamawszy ręce, stać po was w żałobie,
Jak głąz na grobie!...
Gdzie duch wasz? w jaką miłość, w jakie ideały
Weielił się ten najświętszy płomień życia biały?
Gdzie cel jasny, podniosły i wysiłków godny,
Dla jutra płodny?
Gdzie ujście dla sił waszych? u jakiego źródła
Rzeźwicie wasze czoła i usta wśród znoju?
Jakie hasło wam wrzawę powszednią przygłusza,
Gdzie wasza dusza?

Wy nosicie ją w piersiach, jak lampę zgaszoną,
W brudnych popiołów pełnej i spękanej urnie;
A kiedy już na wieki zastygnie wam łono,
Wy, wy — umrzecie powtórnie!

II.

Wieczny spoczynek! ach, jest-że mogiła,
Tak cicha, taka pusta i zamarła,
Której-by ruchu wieczystego siła
Nie tknęła i nie otwarła?
Jest-że grób, tak już zapadły i stary,
By w nim potęga przyrody tworząca
Toastu życia nie mogła wznieść czary
W promieniach słońca?
Jest-że proch jaki, tak nędzny, lub święty,
Żeby go prawo powszechne minęło?
I czyż na blade poglądając szczęty,
Natura przerwie swe dzieło?
Wieczny spoczynek! ach, jakie złudzenie
Dla tych atomów, zdmuchniętych z błękitu,
I szukających przez ruch i ciążenie
Co raz to nowych form bytu!
Jakie złudzenie dla prochów rozwianych,
Na które szereg odmian w grobie czycha!..

Dla tych znudzonych, i dla tych stroskanych,
Co mówią: „mogiła cicha!“

* * *

O śmierci! tajna współniczko narodzin!
Kiedyż ty będziesz spoczynkiem ludzkości?
Któraż z spiżowych twego przyjścia godzin
Obwieści pokój wieczności?
Czy, gdy się ludów dopełnią nadzieje?
Gdy przyszłość wszystkie sztandary zdobędzie?
I kiedy w blaskach słonecznych zadnieje
Świt boży wszędzie?

Gdy rozgrzeszenie znajdą wszystkie winy,
Gdy wszelka krzywda będzie nagrodzona,
Gdy dadzą owoc łzy, walki, i czyny
Wieków miliona?

Wtedy, gdy pęknie potężne ogniwo
Przyczyn i skutków, co ludzką myśl żywą
Chwytała wciela w konieczne następstwa
Klęsk, lub zwycięstwa?

Czy wtedy, gdy się wyczerpie już dzielność
Popędów życia na całym tym globie,
I gdy nicości wszędzie nieśmiertelność
Na wielkim planety grobie?

Czy wtedy, gdy proch, co sercem był mojem,
I drżał wzruszeniem ducha tajemniczem,

Bóg strząśnie z szat swych z wszechmocnym spo-
kojem,

Aby był niczem?
Kiedy na ziemi zabraknie już kwiatów,
Coby mogilnym żywiły się sokiem,
I kiedy glob nasz, w znużeniu głębokiem,
Zagaśnie wśród drżących światów?

* * *

Ach! może, gdy się w mgławicę obłoczną
Zmieni materja, sił wiecznych narzędzie,
Bóg może powie: „niech smutni odpoczną!
Niechaj noc będzie“!
Lecz dziś, gdy zastęp walczących szermierzy
Ginie, by wskresnąć wszechchruchem wśród globów,
Gdzież ten, co w wieczny spoczynek uwierzy
I w ciszę grobów?

III.

Ktokolwiek widział najdroższe oblicze,
Kamieniejące w linje tajemnicze,
W przedśmiertnej walki godzinie;
Ktokolwiek słyszał cichy jęk konania,
Kiedy się dusza na usta wyłania
I drży, i gaśnie, i ginie...

Ktokolwiek w drogiej i mdlejącej dłoni
 Widział gromnicę, jak światło swe kłoni
 Za ust niepewnym oddechem;
 Ktokolwiek słyszał obojętne szmery,
 Gdy przyszło w miarę dobrać deski cztery,
 Żeby się wieko zawarło...

Ktokolwiek ziemi oddał skarb najdroższy,
 I w puste kąty wracał sam, uboższy

O całą miłość umarłą, —

Ten w dniu jesiennym, mglistym Listopada,
 Bóle tęsknoty swojej wypowiada
 Na cichym grobie cmentarza;
 Ten swoje modły żałobne i łzawe,
 Sieroce nędze i wdowie łzy krwawe
 Niesie na stopnie ołtarza.

* * *

Lecz kto i kiedy modlitwy pokutne
 Odmawiać zechce za te dusze smutne,
 Co jeszcze mdleją w podróży?
 Za owe chwiejne i wątpliwe duchy,
 Na ostrych pokus wydane podmuchy,
 Jak łódź bez steru, wśród burzy?
 Za te, co światła łakną i pokoju,
 Za te, co tają, jako rosa, w znoju
 Skwarne dnia upalenia?..
 Za te, co, w otchłani zapatrzone ciemną,

Próżno wołają, żądają daremno
 Prawdy i wiedzy promienia?
 Za te, co, pragnień pożarem trawione,
 Czyścowych ogni męczeńską koronę
 Noszą, jak upiór północy?
 Za te, co, z nikąd nie mając ratunku,
 Drżące, zbłąkane, bez wyjścia, kierunku,
 Bez bratniej giną pomocy?
 Za te, co cierpieć nie mają już siły,
 I odpocznienia pragną u mogiły,
 Po ciężkim życiu tułaczem?
 Za bolejące duchy i zgorzkniałe,
 Za te, co szaty pokalały białe,
 Kto, pytam, modli się z płaczem?

Credo.

Wierzę w ducha potęgę i w wiedzy zdobycze;
Wierzę w cel życia wzniosły, święty, choć daleki;
Wierzę w braterstwo ludów, w hasła tajemnicze,
Które przez wrzawę dziejów wiekom dają wieki.
Wierzę w dobro, co z czołem białem od promieni,
Wyleczy kiedyś ziemię z jej ran i z jej cieni...
Wierzę, że bohaterscy ducha pracownicy
Ujrzą jutrznią dni nowych ze swojej strażnicy.
Wierzę, że dawne błędy następstwa łańcuchem
Ciężą nad późnych wieków kierunkiem i ruchem.
Wierzę w dziedzictwo kary, w pokutę dziejową;
Wierzę, że sprawiedliwość z stąpi nam królowa...
Wierzę w ciszę i w spokój po gromach i burzy;
Wierzę w siłę, co, walcząc ze złem, się nie nuży...

Wierzę, że wytrwać można mężnie i dostojnie
 W największej własnych uczuć i porywów wojnie.
 Wierzę w uścisk, co kiedyś świat połączy cały;
 Wierzę w nieskończoności białe ideały;
 Wierzę, że z drobnych iskier, skrzęsanych przez
 dzieje,

Wielkie, wspólne ognisko ludzkości roztleje.
 Wierzę w przejrzyste sfery po-nad wrzawą ziemi,
 Kędy się krzepią duchy wodami żywemi,
 Kędy niskie zabiegi milkną przed obliczem
 Wiekuistej ustawy z berłem tajemniczem.
 Wierzę w kwiaty nadziei, co z mogił nam wschodzą;
 Wierzę, że krzywd posiewy bohaterów rodzą.
 Wierzę w parcie konieczne, świadome ludzkości,
 Do potężnych idei prawa i równości.
 Wierzę, że błędnych komet blask zagasa zwolna;
 Wierzę, że ludzkość wiecznie łudzić się nie zdolna,
 Lecz, nim dosięgnie prawdy, smutna i stęskniona;
 Nieraz do marnych cieniów wyciągnie ramiona.
 Wierzę w braterskiej dłoni uścisk i zachętę;
 Wierzę w duchów zbudzonych obcowanie święte;
 Wierzę w siłę, co stapia czyny i ofiary
 Na dni nowych słoneczne, królewskie sztandary;
 Wierzę w orli lot ducha, co nigdy nie stoi..
 I „niechaj mi się stanie podług wiary mojej.“

Ostatnie piosnki.

Ach! ja w jesieni przestaję być sobą,
 A jestem smutkiem, ciszą i żałobą!
 I jestem listkiem drżącym na gałęzi;
 Jestem mgłą bladą, co dnia jasność wiezi;
 Jestem pól nagich długim, pustym szlakiem.
 Lecącym smutnie na obczyznę ptakiem;
 Jestem przeciągłym po stepach powiewem,
 Więdącym kwiatem, obumarłym drzewem;
 Jestem odbiciem gasnących promieni,
 Splatanem pasmem lekkich, drżących cieni;
 Jestem posepną chmur czarnych źrenicą,
 I szarych godzin zmierzchem i tęsknicą...
 I jestem lasów zdeptanych koroną,
 Opadłych liści czernią znieważoną,

I brzózką białą, co w zadumie słucha,
 Jak wicher świstem szyderczym wybucha...
 Jestem konikiem polnym, który kona;
 Rosą, co szronem błyszczy wysrebrzona;
 Jestem zemglonem poranka spojrzeniem,
 Rozstaniem jestem, i żłaz, i wspomnieniem.

* * *

Z drzącą topolą schylam w smutku czoło,
 I listki marzeń rozsypuję wkoło...
 Z spóźnioną pliszką piosnkę cicho nuce:
 „Do wiosny tęsknię! do wiosny się wróć!”
 Myśl moja w różne mieni się kolory,
 Jak nasze gaje, i jak nasze bory...
 Z trawą skoszoną do ziemi przypada,
 I z gwiazdą senną rozświećla się blada...
 Srebrem migoce w białej pajęczynie,
 Z zagasłej róży tchem ostatnim ginie...
 Z gniazdkiem zburzonem chwieje się i żali,
 Z tumanem liści przepada w oddali...
 I tak nad świata zamglonym obszarem
 Leci, porwana dni jesiennych czarem,
 Tak coraz słabszem tętnem życia dyszy,
 I tak się gubi w przedśmiertelnej ciszy,
 Taką tęsknotą napawa się, drżąc,
 I tak się czuje wygnaną od słońca;
 Że, gdy ostatni liść z drzewa obleci
 I wstaną duchy śnieżystych zamieci,

Ona, jak ptaszę, zmiłknie, sposepnieje,
 I po kurhanach mgłami się rozwieje...

II.

Stepie daleki! stepie ty zielony!
 Ach, otwórz mi się jak drogie ramiona...
 Niechaj polecę, jak ptak uskrzydłony,
 Niech się rozplynie w ciszy twej, stęskniona!

* * *

Tu, przy mnie, blisko, stań brzoza płacząca...
 Tu, przy mnie, blisko, stań konwaljo biała!
 Niech się traw fala o pierś mi roztrąca,
 Niechaj wiatr śpiewa, ja będę słuchała!

* * *

Nad głową nie chcę mieć nic, prócz błekitu,
 Pod stopą tylko drobne, polne zioła...
 Innego światła nie chcę, prócz gwiazd świtu...
 Dajcie mi spocząć! — niech mnie nikt nie woła!

* * *

Niech ja zapomnę, że nademną ciążyą
 Minione wieki posepną żałobą..

Niech mnie ustawy, niech prawa nie wiąza,
O! niech zapomnę, że muszę być sobą!

* * *

Zasłoń mi oczy, ty chmurko rozwiana,
Której cień nikły jasność dzienną mroczy...
Z oddechu kwiatów, z łez źródła utkana,
Chmurko srebrzysta, ach, zasłoń mi oczy!

* * *

Niech ja nie widzę walk, pełnych goryczy,
Wyścigów po-przez stradowane duchy...
Niech ja nie widzę, jak brat bratu liczy
Chleba i serca mizerne okruchy.

* * *

Ciszo ty błoga, ciszo ty stepowa!
Owiej mi czoło skrzydłami lekkimi...
Niech zmiłkną dla mnie próżne treści słowa,
Niech ja usłyszę oddech matki ziemi...

* * *

Stepie ty wolny! o stepie szeroki!
Daj mi się skapać w obszarach bez końca...
Niech w białe pióra uderzą obłoki,
Polecę na nich do Boga i słońca!

III.

Oj! rozżaliła się gwiazdka maleńka.
Że w nocy świeci...
Oj! zapłakała samotna piosenka,
Że z wiatrem leci...

* * *

„Gdybyż mi świecić, gdy zorza rozdmucha
Jutrznię różową!”

„Gdybyż mi śpiewać dla serca, co słuca,
Dobre da słowo!”

„Och! wypatrzyłam już oczy błyszczące
Wtę nocy ciemną”..

„Och! wyśpiewałam już dumki palące
W nicość daremną”..

„Kwiaty mnie senne nad ziemią uspioną,
Dojrzeć nie mogą”

„Ludzie piosenkę, sieroco rzuconą,
Potracą nogą”..

Nocko zroszona, w twym cieniu perłowym,
Drząc, świecić muszę”..

„Próżnio ty straszna oddechem grobowym
Ziębisz mi duszę!”

„Komuż ja promyk i światło dam drżące
W drogę spóźnioną?”

„Komuż ja serce orzeźwię mdlejące,
Rozgrzeję łono?”

„Choćby mi ognie trysnęły z nad czoła,
Jak światła zdroje,

Nikt tu nie spojrzy i nikt nie zawoła:
Słońko ty moje!”

„Choćbym ja duszę oddała z płomieni
I z dźwięków ciała,

Ludzie, słuchając, nie staną wzruszeni..
Pieśń — jak to mało!”

„Zabierz mnie srebrna, ach zabierz mnie w siebie,
Ty, wstego mleczna!”

„Roznieś mnie, wietrze, po ziemi i niebie,
Gdzie cisza wieczna!”

„Albo mnie z czoła zrzucić, cichy błękanie,
Jak iskrę marną”..

„Albo mnie ptaszki pochwycie o świcie,
Nad ziemią czarną!”

„I niech w przestrzeni zagasnę nareszcie
Jak błysk co znika!”

„A wy mnie, szumy, po drzewach roznieście,
Gdzie puszcza dzika!..”

* * *

Oj rozetliła się gwiazdka maleńka
W leciuchne cienie...

Oj rozplynęła się smutna piosenka
W ciche westchnienie!



SPIS RZECZY.

Wstęp	7	Modlitwy wiosenne.	185
W górach:		Jak mi smutno! ...	201
I. Przygrywka ..	11	Obrazki:	
II. Na Dunajcu ..	15	I. Co póżnie?	206
III. W poranek ...	10	II. Sobotni wieczór.	209
IV. Noc.....	23	III. Wolny najmita.	213
V. Na Czorsztynie.	27	IV. Przed sądem...	215
VI. Na szczytach..	31	V. Z wiejskiej szkółki	227
VII. Rabsztyn ..	35	VI. Bez dachu.	221
VIII. W Jaworkach.	39	Czy marzą?	221
IX. Na Dunajcu...	43	Przed odlotem...	233
Klaudia	47	Co to jest życie? ..	235
Idylla	67	Bądź silnym	239
Po burzy	71	Głód	243
Anioł milczenie. .	73	Przeszłość i przyszłość	247
Opowiadanie rannego	79	Odpowiedź	251
Grünwald	87	Fragment	255
Tarcza Scypiona ..	91	Gdzie jest mój dom	259
Jaskółka	115	Nie dziw się?	263
Z Dziejów pieśni ..	121	Fragment	269
Fragment	147	Czy warto?	273
Echa majowe.	149	Nie skarż się	277
Wskróś nocy	161	Fragment	281
Tęsknota	165	Do kobiety	287
Czem jesteś?	172	W Zaduszny dzień.	292
Z dni smutku.....	173	Credo	299
Najkrwawsze pole..	181	Ostatnie piosnki...	301

90, - / AINT 13

C-16/34

545

